N. 28. WARSZAWA d. 3 (15) Lipca 1871 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

KRAJOWCY
I ZARZĄD NA WYSPACH OCEANJI.

PRZEZ

Kazimierza Kaszewskiego.

— Wiele to było pisania i krzyku, szczególniéj ze strony publicystów nieromańskich szczepu, przeciwko postępowaniu romańskich plemion z krajowcami ludów amerykańskich, ile to mianowicie przeciw Hiszpanom z XVI wieku wyzionęła potępienia prassa angielska, wysławiając nawzajem postępowanie armii i kompanii wschodnio-indyjskiéj! Według zdań jakie wyczerpać można z pisarzy niemieckich i anglo-saksońskich, okazuje się to, co najmniéj, że plemiona romańskie, francuzi, hiszpanie i portugalczycy, nie mają żadnych zdolności kolonizacyjnych; kto nie wierzy, niech przejrzy choćby wstęp do dziejów XIX wieku, Gerwinusa: ale tegoż samego zdania są wszyscy, co mieszkając na zachodzie Europy, nie mówią złacińska. Wychodziłoby niby na to, że romańczycy, przyznać trzeba, mogą nie być niezdolni do odkrycia czegoś, oczywiście przypadkiem, niby ślepa kura ziarnko; mogą tam się między niemi znaleść jacyś, więcéj awanturnicy niż myśliciele, nakształt Kolumba lub Gammy, którzy natrafią na nowe drogi i na nowe światy; szczep germański nie wzbrania im tego, a nawet do pewnego stopnia widzi w tem zasługę; wolno romańcom odkrywać nowe ziemie, ale pod tym tylko warunkiem, żeby te oddane były pod zarząd i na użytek plemion germańskich, wtedy tworzy się tam eldorado, inaczéj piekło i gorąca smoła. Gerwinus dosyć nawytykał błędów, nonsensów i niezdarstwa Francuzom za ich prowadzenie osadnictwa w Kanadzie i innych terryrj oach amerykańskich, i cieszy się też, prawdziwy przyjaciel postępu, że Anglicy użyli całéj potęgi jaką przedstawić może zjednoczona razem armija, flota, intryga, podstęp, natchnienie zawiści, by wydrzeć tę krainę z niegodnych rąk i uczynić ją złotą tasiemką w purpurze anglo-saksońskiéj. Wprawdzie Kanadyjczycy mówią dotąd jeszcze łamaną francuzczyzną, ale są dziś tak dobrymi anglikami, jak cała falanga manszesterskich pończoszników; a o krajowcach to już prawie ani słychać, siedzą oni cicho, nie prowadzą najmniejszéj wojny, i mają do tego słuszną rację, bo ich nie ma. Albo i Algier? Czterdzieści lat temu przecie jak Francji udało się poskromić rozbójników Algierskich, uwolnić od ich napaści i haraczów żeglugę europejską, wyrzucić deja i zasiądź na jego stolicy; a gdzież tam kolonizacja? Parodje same. Żaden jeszcze francuz nie zrobił interesu w Algierze: Arabowie, ba nawet Kabylowie, wciąż tam się uwijają jakby to była ich własna ziemia. Ho, ho — gdyby to ślepe szczęście spotkało anglika lub niemca; coby to tam był za postęp.

Jest to tylko niezdarność francuzka, a cóż dopiero mówić o nadużyciach i wiekowych okrucieństwach Hiszpanów. Te forsowne nawracania dawniejsze, te handle niewolnikami, toż to był wiekuisty temat do najrzewniejszych rozpraw w parlamencie angielskim; i nic dziwnego. Jak tu się nie było rozrzewniać, biedy osady hiszpańskie zasilane zwierzęcą pracą czarnych, łatwiéj prosperować mogły w przemyśle i produkcji, i nawet poważały cię czynić konkurencję handlowi angielskiemu, który powoli czy poniewoli pozbawił się takiego czynnika. Ludzkość, przedewszystkiem ludzkość: to dewiza angielska, — korzyści materjalne, zwłaszcza u innych, przechodzą na odległy plan wobec tego wielkiego zaklęcia, któremu nigdy sztandar Albionu nie odmówił wiary, jak utrzymuje jego narodowa pieśń:

Where is the Briton's home?...
Where man's great law can come,
Where the great truth can speak,
Where the slave's chain can break,
Where the White's scourge can cease,
Where the Black dwells in peace,
Where from his Angel-hall
God sees us brothers all,
Where light and freedom come;
There is the Briton's home.

(Gdzie jest Brytanów dom?...Tam gdzie iści się wielki ludzkości zakon, gdzie wielka prawda przemawia, gdzie pękają więzy niewolnika, gdzie bicz Białego ustaje, gdzie Czarny mieszka w pokoju, gdzie z anielskiego przybytku Bóg patrzy na nas wszystkich miłością bratnią złączonych, gdzie panuje światło i wolność; — tam jest Brytannów dom.)

Swiadectwo takich zasad o brytańskim domu znajdziemy prawdopodobnie i w najświeższem dziele dwóch podróżników niemieckich Christmanna i Oberlandera: *Neu-Seeland und die uebrigen Inseln der Südsee*; boć na tych wyspach panującą jest mowa angielska i sztandar Anglji powiewa.

Nowa-Zelandja, toż to wielka wyspa położona na najoddaleńszych przestworzach oceanu Spokojnego, a w piękności natury, w skarby ziemi, w naukowe szczególności niezmiernie obfita. Głowa zawraca się od jakiejś rozkoszy, i chętka zdejmuje do awantury, przy odczytywaniu kart na których autorowie spisują wiadomości swe i wrażenia. Coż to za świat potężny, majestatyczny i czarujący! A ludzie na nim?

Otóż, naprzekor wszystkiemu cokolwiek wspaniałego z taką szlachetną i słuszną dumą Anglicy o sobie wyśpiewać i wypowiedzieć mogą, przychodzimy tu do wiadomości, które w Anglii zapewne nie z dumy rumieńcem przyjęte będą, ale z rumieńcem wcale innego uczucia, gdyby tam było nań miejsce.

Rzecz się co do tego tak niby ma z Nową-Zelandją.

Kiedy przed stu z górą laty wylądowała na téj wyspie gromada wyrzutków angielskiego ludu i na wybrzeżu założyła kilka siedliszcz, osadnicy żyli jak mogli o własnym przemyśle i na własną rękę:

Mogliby byli sobie założyć osobne państwo, koronować jakiego Romulusa, rozwijać się i organizować według upodobania, i niktby im nie śmiał wejść w drogę, przeszkadzać, dopókiby zaczepka się nie opłacała. Nowi osadnicy jednak nie byli czy tak ambitni, czy tak silni i zręczni: dosyć im było opierać się dzikiéj naturze, dzikim zwierzętom, dzikim krajowcom i zaspakajać *auri sacram famem*. Dopiero w r. 1840, na żądania missyjonarzy i przemysłowców, oraz na skutek układu z pewną liczbą naczelników plemion miejscowych, Nowa-Zelandja przeszła w posiadanie korony Wielkobrytańskiéj.

Od tego czasu dopiero spekulanci rozpoczęli wycieczki na ogromną stopę, niespokojne umysły biegły szukać uspokojenia na wyspach oceanu Spokojnego, i kolonizacja szła krokiem przyspieszonym. W tym pospiesznym pochodzie ta tylko maleńka okoliczność jest do nadmienienia, zawsze według naszych dwóch podróżników, nie zaś według londyńskich gazet, że on w pospiechu swym deptał i gniótł wszelkie prawa, jakie sobie krajowcy przysięgą pełnomocników korony angielskiéj zabezpieczyli; że przy téj sposobności wyparował z jéj przenośnych relsów odwieczną ludzkość staréj Anglii, i zostawił za sobą straszne pożogi i okropne wojny, raczéj rzezie, które spowodowały rychłe krajowców wytępienie. Obecnie krajowców tych zowiących się *Maori*, liczą zaledwie na 40,000 dusz, — czyby nie lepiej powiedzieć głów, — kiedy Cook przed stu laty obrachowywał ich na pół miljona, a w r. 1842 wykazywano ich jeszcze przeszło sto tysięcy. Przez trzydzieści niespełna lat wytępić sześćdziesiąt tysięcy sromotnéj dziczy, coby przecięciowo dało po dwa tysiące na rok, toż to zupełnie w duchu pośpiechu jakim ożywiona jest epoka nasza. Dawni a niedołężni Hiszpanie na to potrzebowaliby wieków.

Za to ludność europejska powiększyła się do 200,000 dusz, ale cóż to znaczy, kiedy kraj wielkością, kształtem a w części i klimatem podobny do półwyspu Italskiego, jest w stanie wyżywić ludność kilkudziesiąt miljonową.

Przy takiem wzmożeniu się pierwiastku europejskiego, oraz przy systemacie roztropnéj oszczędności jaką zaprowadza z taką chlubą władające dziś sprawami angielskiemi ministerstwo wigów, rząd Wielkobrytański postanowił wojsko królewskie, które w r. 1863 dochodziło do 13000 ludzi, z osad usunąć i obronę swą samym osadnikom pozostawić.

Duchem jakiejś szczególnéj niechęci wiedzeni podróżnicy powiadają jeszcze, że sąd wielkobrytański, do usunięcia wojska i pozostawiania swych obywateli na łasce i niełasce okrutnych Maorysów, miał jeszcze inny powód, ale powód ten był tylko domyślnym, gdzieś tam przy zamkniętych drzwiach w gabinecie prezesa wypowiedzianym, a może i w księdze niebieskiéj delikatnie zaznaczonym. Oto, wstyd było rządowi potężnem swem ramieniem piersiami walecznych swych żołnierzy, osłaniać nadużycia, swawole i wszelkiego rodzaju brutalności swych obywateli oceanu Spokojnego wymierzane przeciw Maorisom; pomiędzy wojskiem nawet objawiał się wyraźny wstręt do pomagania spekulantom w takich sprawach. Wstręt ten wyraził się nawet głośno pod piórem jakiegoś wojskowego, który podpisawszy się jako „stary oficer polowy”, zamieścił w jednéj z londyńskich gazet następujące zdanie: „Anglicy dają nieustanne powody do zaczepki, a krajowcy wiedzą, że osadnicy żądni są ich krwi, gdyż w wytępieniu Maorisów widzą środek najrychlejszego osiągnienia celu, który nie na czem innem polega, tylko na zajęciu w posiadanie krain tych nieszczęśliwych. Angielskim jednak żołnierzom nienawistną jest ta wojna którą prowadzić muszą za tak brudne interesa, i wstydzą się służyć za narzędzia okrucieństw i niesprawiedliwości!!

Już i przedtem jeden z członków izby niższéj oświadczył w parlamencie: że w obec faktów poświadczonych przez księgę niebieską Wielka Brytańja ma najsłuszniejszą przyczynę za barbarzyńskie postępowanie synów swoich w Nowéj Zelandji nakryć głowę workiem i na popiele odbywać żałobę! Ale odgłosy podobne nie przeniknęły do serc spekulantów, którzy się w podobne sentymentalizmy nie bawią. Osadnicy postępują daléj w rozpoczętem dziele i postępować będą, dopóki wyspy całéj od brzega do brzega nie ucywilizują, dopóki ona nie stanie się krainą mlekiem i miodem płynącą, odbiciem życia i instytucji europejskich w ulepszonéj edycji, urzeczywistnieniem tego *great law*, do którego uśmiecha się Bóg z wysokości *Angel-hall*.

Ażeby spełnić to dzieło cywilizacyjne, osadnicy musieli przedewszystkiem usunąć przeszkody tamujące jego zastosowanie. Mieli oni na sam przód do czynienia z sylwiją i fauną australijską, która głuchą była na wszelkie wezwania o zastosowanie się do widoków europejczyków. Fauna i Flora wysp straconych na wielkiéj przestrzeni wód, ograniczonych szczupłemi rozmiarami gruntu, pozbawionych wszelkiéj kultury sztucznéj, jak wiadomo, różni się od Fauny i Flory wielkich lądów. To też pierwsi osadnicy, przybywszy do Nowéj Zelandji, zastali tam zwierzęta pierwotne, których niema już Europa, chyba w pokładach ziemnych. Wielkie to są skarby dla gabinetów zoologicznych, lecz obojętne dla spekulacji przemysłowéj jeżeli nie szkodliwe. Mucha np. tameczna okazała się tak dalece nie towarzyską, że europejskie nerwy w żaden sposób pogodzić się z nią nie mogły, życie stawało się niepodobnem. Cóż na to począć, czyż ustąpić przed nędzną muchą? Nie; to ona musi ustąpić. Sprowadzono tedy muchę europejską, i ta tak się zawinęła że miejscowa, wytępiona przez nią, przestała trapić pracującą ludność. Drobne żyjątka czworonogie, żywiące się korzeniami roślin, zasmakowały w plantacjach sadzonych ręką europejczyków, i uważały je poprostu za swoie śpichrze. Jest i na to sposób. Ile to w Europie wilki tępią takich drobnych stworzeń, myszy polnych, zajęców i innych istot szkodliwych zasiewom. Ale wilk nie byłby może pożądanym gościem i dobrym przewodnikiem dla sławnéj australijskiéj wełny, która przez chwilę stała się nawet groźną rywalką wełny europejskiéj. Zgodzono się więc na świnię europejską; sprowadzono ją do Nowéj-Zelandji, puszczono w lasy, zdziczała, i daléj dopomagać do dzieła cywilizacji przez wyjadanie szkodliwych rolnemu przemysłowi istot.

Czyż się chcący lub niechcący, ten sam experyment nie przedstawił na ludziach, także przeszkadzających do rozwijania cywilizacji europejskiéj?... Odpowiedź dają nam podróżni w cyfrach i zdaniach, które przytoczyliśmy wyżéj.

A Maorysy?... Oczywiście że oni nie czują się bynajmniéj powołani do ewangielicznéj rezygnacji, i z białemi nie obchodzą się wcale tak jak Dawid obszedł się z Saulem w jaskini, — przy spotkaniu takiem nie poprzestają na obcięciu białemu poły od makintosza; bo też są to dzicy. Z tem wszystkiem pozostali oni stosunkowo wierni układom i szczerzy w swych uczuciach, obudzają nawet pewne współczucie przez bohaterską odwagę, z jaką walczą daleko niższą bronią o swe pokrzywdzone prawa. Z tem wszystkiem są to ludożercy, którzy jednak pomimo téj ohydnéj manii, okazują dziwne oznaki wspaniałości serca. W roku 1865, kiedy zwolniała nieco zaciekłość wojny pomiędzy niemi i osadnikami, jeden z missjonarzy protestanckich odważył się pójść na odszukanie swego domu, który położonym był w miejscowości zajętéj ogniem powstania dzikich. Skoro tylko tam przybył, natychmiast porwali go jego nowonawróceni, zamordowali, wydarli mu serce i ciepłe jeszcze spożyli. Czyn ten w samych Maorysach wzbudził oburzenie, morderców ujęto i dla ukarania odesłano Białym, chociaż dzicy dlatego ani wojny nie zawiesili, ani się poddali.

Jednakże ten fakt rzucenia się na pożarcie ludzkiego ciała był już w dzisiejszym czasie wyjątkowym: ludożerstwo w ostatnich lat dziesiątkach bieżącego wieku zupełnie między Maorysami ustało, i w tem ukazuje się istotnie wpływ kultury europejskiéj. Missjonarze, oczywiście, nauczaniom swoim przypisują upadek tego ohydnego zwyczaju, i prawdą jest niezaprzeczoną że oni całkowite nawet jedno pokolenie powierzchownie wcielili do kościoła chrześcijańskiego: powierzchownie, — powiadamy, — gdyż nowi ci chrześcijanie, jak daleko sięgał promień powstania, wszyscy natychmiast odstąpili od wiary chrześcijańskiéj i zwrócili się do jakiegoś nowo wynalezionego kultu, który równie niedorzecznym jest jak brutalnym.

(d. c. n.)

Korespondencja ze Lwowa.

Martwa pora roku — Smutne położenie stałych mieszkańców Lwowa—Starcie pomiędzy panem Miłaszewskim a Towarzystwem przyjaciół sceny. — Dobroczynność naszego dyrektora teatru. — Zmiana w radzie administracyjnéj fundacji hr. Skarbka. — Pani Modrzejewska i p. J. Królikowski.—Popis uczniów szkoły dramatycznéj. —Śp. Henryk Nowakowski.—Nowe pisma— Z wystawy obrazów—Obrazy Leopolskiego i Matejki— Nowe katedry na technice i wszechnicy lwowskiéj. — Założenie kamienia węgielnego pod szkołę Elżbiety. — Wyścigi konne.—Kawiarnia teatralna.

Po zimnym kwietniu i chłodnym maju zanadto wcześnie zaskoczyła nas martwa pora roku, tak pożądana dla dyplomatów i giełdzistów, którzy spieszenie chronią się przed miejskim skwarem wycieczką w wiejskie zacisza, a tak przykrą dla wszystkich których stosunki i obowiązek przykuwają do rozpalonego bruku miejskiego. Korespondent wasz należy do téj ostatniéj kategorji nieszczęśliwych ludzi, więc z góry prosić musi o pobłażliwość za skwaszony humor, którego niezawodnie pozostawi ślady w kilku korespondencjach. Jestto wcale skromne i słuszne żądanie, bo Lwów w skwarnych miesiącach staje się prawdziwem piekłem dla swych stałych mieszkańców. Kto niezdolnym jest do takiego heroizmu, by znieść mógł przeraźliwie zimne kąpiele w Kisielce, kto nie jest do tego stopnia wytrwałym, by wśród nużącéj spiekoty, zdecydował się na półmilową wycieczkę za miasto do jakiegoś stawku, temu oprócz całodziennego *far niente* w pomieszkaniu, nie pozostaje inny środek uśmierzenia dokuczliwego znużenia. Na domiar nieszczęścia Lwów staje się bardzo posępnym i traci o téj porze, połowę swych dawniejszych rozrywek. Już teraz bowiem wyjeżdża na wieś albo za granicę zamożniejsza część ludności, która dodaje blasku stolicy, a niebawem opuści nas kilkutysięczny zastęp młodzieży szkolnéj, ów najgłówniejszy może czynnik ulicznego ruchu i gwaru. Teatr polski i niemiecki już niezadługo zawieszą przedstawienia i spędzą ferje na prowincji. Teatr polski zamierza nawet zrobić sobie w tym roku dłuższe ferje, jak gdyby zemścić się chciał na publiczności i dziennikach za ich ciągłe utyskiwanie. A utyskiwanie to stało

się od niejakiego czasu daleko gwałtowniejszém i dokuczliwszem dla pana Miłaszewskiego, który w swym mizernym Kurjerku teatralnym, stara się odpierać zarzuty poważne płaskiem szkalowaniem i w ten sposób coraz namiętniejszą wywołuje polemikę. Powodem tego żywszego zajęcia się dyrekcją teatru polskiego, jest Towarzystwo przyjaciół sceny które przed dwoma laty z taką gorliwością pomagało panu Miłaszewskiemu wziąść teatr w dzierżawę na drugie sześciolecie, a obecnie wypowiedziało mu walkę śmiertelną.

Właściwy powód tego nieporozumienia jest niezupełnie jasny. Towarzystwo ma pretensję do dyrektora sceny polskiéj, że nie wspiera szkoły dramatycznéj, którą zajął się tak gorliwie, gdy rozstrzygał się konkurs rozpisany przed dwoma laty o wydzierżawienie teatru.

Pan Miłaszewski odpowiedział na to, że nie poczuwa się do obowiązku popierania szkoły dramatycznéj i w liście tym zrzekł się idealnego tytułu kuratora tejże szkoły. Idealnym zaś wydał się tytuł panu Miłaszewskiemu dlatego, że nie niósł żadnych korzyści materjalnych. Towarzystwo przyjaciół sceny wypisało w odpowiedzi na ten list dosadną replikę, którą wraz z innemi listami dyrektora wydrukowało w najwięcéj rozpowszechnionem piśmie lwowskim. Ale polemika ta nie doprowadziła do żadnego skutku, bo pan Miłaszewski; aż nadto często dowiódł czynem, że ma ogromny wstręt do wszelkich darów na cele pożyteczne albo dobroczynne. Dowodów na to nie daleko potrzeba szukać. Przed sześciu tygodniami bawił we Lwowie profesor Duschnée, znakomity mimik. Urządzając jedno przedstawienie na cele dobroczynne prosił pana Miłaszewskiego, ażeby zrzekł się służącego mu jako dyrektorowi sceny niemieckiéj prawa do dziesięciny z tego przedstawienia. Pan Miłaszewski odpowiedział odmownie i w sposób nadzwyczaj szorstki. List ten był w całości drukowany a pan Miłaszewski nie zaprzeczył nawet w swoim *Kurjerku teatralnym*. Po takim dowodzie dobrych chęci pana dyrektora, Towarzystwo przyjaciół sceny powinno było zrzec się swoich pretensji, bo z góry przewidzieć mogło, że nacisk wywarty przez dziennikarstwo, nie zdoła przełamać takiéj odrazy do dobroczynności.

Nie jest to jedyna klęska, jaką pan Miłaszewski poniósł w ubiegłym miesiącu. Rada miejska wybiera dwóch delegatów do rady administracyjnéj fundacji hr. Skarbka, która rozstrzyga o konkursie na scenę polską. Dotychczas zasiadali ze strony rady miejskiéj delegaci, pozbawieni zdrowego pojęcia o znaczeniu sztuki i ci stanowczo sprzyjali obecnemu dyrektorowi. W tym roku rada miejska nie wybrała jednego z nich, a w miejsce jego wyszedł z urny wyborczéj dr. Ludwik Wolski, młody, bardzo zdolny i światły adwokat, który zna dobrze nędzną gospodarkę pan Miłaszewskiego, i opłakany stan sceny polskiéj. Dzisiaj więc pan Miłaszewski ma w radzie administracyjnéj tylko jednego członka bezwzględnie oddanego sobie i decydujący głos księcia kuratora, który powodowany jakiemiś tajemniczemi względami, radby oddać scenę polską nawet na własność swemu ulubieńcowi, gdyby to tylko możliwem było. Może większość rady administracyjnéj złożona z dwóch światłych delegatów wydziału krajowego i dr. Ludwika Wolskiego, zdoła przełamać ten zagadkowy opór księcia kuratora i przynajmniéj przy ukończeniu obecnego sześciolecia wyrwie scenę polską z rąk pana Miłaszewskiego.

Chcąc zadać kłam utyskiwaniom dzienników i publiczności i okazać wielką troskliwość o scenę lwowską, pan Miłaszewski zaprosił w tym roku na gościnne występy równocześnie pana Jana Królikowskiego i panią Helenę Modrzejewską. Ale zamiar nie powiódł się, lecz owszem doprowadził do wprost przeciwnych następstw. Gdy bowiem pani Modrzejewska i pan J. Królikowski wystąpili razem w Hamlecie, nawet najpobłażliwsza część publiczności teatralnéj przekonała się, że ubóstwo naszéj sceny jest pod każdym względem niesłychane, mimo nader korzystnych warunków, przy których pomocy umiejętna dyrekcja potrafiłaby teatr lwowski postawić stosunkowo na równi z warszawskim. Wieczór, w którym p. Królikowski i p. Modrzejewska wystąpili razem w jednéj sztuce, pozostanie na zawsze pamiętnym publiczności lwowskiéj. Zapał był tak ogromny, jakiego nikt nie pamięta, a oklaski i wywoływania przebrały wszelką miarę. Dla naszych znakomitych gości hołdy te stały się może w końcu uciąźliwemi, bo przerywały im w grze ustawicznie, ale mimo to wdzięczni jesteśmy publiczności, że czynem zaprzeczyła tendencyjnemu twierdzeniu pana dyrektora, jakoby lwowską publiczność nie umiała ocenić prawdziwego artyzmu i lekkie farsy przenosiła nad arcydzieła dramatyczne.

Podczas pobytu pani Modrzejewskiéj we Lwowie, odbył się pierwszy popis uczniów tutejszéj szkoły dramatycznéj. Dyrektor sceny polskiéj nie chciał na jeden wieczór odstąpić sali, nawet za sutem wynagrodzeniem, więc popis odbył się bardzo skromnie w ujeżdżalni pana Leśniewicza. Uczniowie odegrali dwie małe komedyjki i prolog umyślnie ułożony ten cel. Popis wypadł dobrze choć w zupełności nie odpowiedział tym nadziejom, jakiemi nas łudziło, w ubiegłym roku towarzystwo przyjaciół sceny. Pomiędzy uczniami niejeden posiada talent prawdziwy, który przy zręcznéj informacji i dobrem obsadzeniu katedr w szkole, mógłby do pięknych doprowadzić rezultatów. Być może że w tym roku podźwignie się szkoła dramatyczna, bo dyrekcję objął p. Władysław Zawadzki.

(d. n.)

PORADNIK

DLA ZBIERAJĄCYCH RZECZY LUDOWE

NAPISAŁ

Dr. Jan Karłowicz.

(Dalszy ciąg).

Przystępuję wreszcie do poszczególnego zastanowienia się nad każdym z wymienionych oddziałów rzeczy ludowych, ze wskazaniem najpraktyczniejszéj formy ich zbierania. Przejdziemy kolejno: 1. *Prowincjonalizmy, 2. Spis imion własnych, 3. Podania. 4. Zabobony. 5. Obchody i gry, 6. Pieśni i oracje, 7. Przysłowia i zagadki.*

A. Prowincjonalizmy.

Prowincjonalizmami są: brzmienia, formy, wyrazy i zwroty pewnym okolicom właściwe, w mowie piśmiennéj wcale nie, lub mało używane. A zatem. a) Co do brzmień: właściwe pewnym okolicom wymawianie pewnych głosek, stała ich zamiana innemi, niewymawianie, dodawanie innych, odmienny iloczas i t. d. b) Co do wyrazów: używanie słów: w mowie drukowanéj nie spotykanych; znanych w druku, ale mających różne od powszechnie używanego znaczenie lub odcień znaczenia; mających formy gramatyczne (przypadki, liczby, czasowanie i t. d.) właściwe. c) Co do składni. niezwyczajne zgadzanie, rząd, porządek, rodzaj i t. d. d) Co do imion własnych: odmienne nazywanie miejscowości i ludzi; właściwe zdrobnianie imion chrzestnych i t. p.

Prowincjonalizmy najwięcéj się gnieżdżą w nazwach przedmiotów najpospolitszych, należących do gospodarstwa, myśliwstwa, chowu zwierząt, leśnictwa, bartnictwa, rzemiosł i t. d.; tam wiec najbardziéj szukać ich należy.

Każde takie brzmienie, formę lub wyraz zapisać trzeba na półćwiartce papieru oddzielnie, a to dla tego, iż przy układaniu znaczniejszéj ilości wyrazów w słowniczek, tak spisane najłatwiéj będzie w porządku abecadłowym ułożyć. Wzgląd ten stosuje się do wszystkich oddziałów; format zatém półćwiartkowy i pisanie po jednym tylko wyrazie, po jednéj pieśni, legendzie, zagadce i t. d. na każdéj kartce niech służy za prawidło ogólne.

Tu w oddziale np. z lewéj strony u gór napisać A duże, co będzie znaczyło, że kartka należy do zbioru prowincjonalizmów; pod A wymienić powiat a na prawo u góry parafię lub wieś zkąd wyraz pochodzi. Po środku z lewéj strony sam wyraz, brzmienie lub formę, z prawéj zaś dokładne objaśnienie z dodatkiem przykładu obszerniejszego i wskazaniem czy oświeceni ich używają: a jeżeli słoworód (etymologja) wyrazu jest ciemny, to z wymienieniem jak lud ten wyraz sobie tłomaczy, etymologizuje, jeżeli to ma miejsce.

B. i C. Spis imion własnych.

B. Potrzebny jest, jak powiedziałam, *zbiór nazwisk rodowych wszystkich mieszkańców* (ma się rozumieć oprócz cudzoziemców). Więc obrawszy sobie do opracowania jakąś większą lub mniejszą okolicę, należy zapisywać nazwiska na kartkach pojedyńczych, oznaczając oddział głoską B., powiat i wieś lub parafię, jak w oddziale pierwszym po środku wypisać same nazwisko, z nadmienieniem czy mało, wiele, lub bardzo wiele ludzi w danéj okolicy takowe nosi. A ponieważ niektóre rody mają pewne podania (najczęściéj mityczne) o swém pochodzeniu, gniaździe, protoplastach, o powodzie lub etymologji nazwiska, więc wzmiankę o tém zanotować pod imieniem własnem, a samo podanie wypisać oddzielnie. W razach gdy w pobliżu zjaduje się miejscowość (wieś, miasto i t. d.), od któréj nazwisko rodowe zdaje się pochodzić, to nie opuścić i téj wskazówki. Zapisywać także przewiska od rzemiosł, cech cielesnych itp. a także nazwiska od matek pochodące, służące nieraz za przydomek oprócz imienia rodowego, lub za same nazwisko.

C. Równie ważnym i potrzebnym jest *spis wszystkich nazw miejscowości*, nie tylko miast, miasteczek, wsi, osad, folwarków, zaścianków, lasów, gór, okopów, jezior, rzek, ale i najdrobniejszych kawałków ziemi: gajów, łąk, pastwisk, dróg, pewnych niw, obrębów, polan, trzebisk, pasiek, młynów, stawów, bagnisk, rzeczek, strumieni, źródeł; w miastach zaś i miasteczkach: części oddzielnych, ulic, kościołów, domów niektórych, przedmieść, placów, i t. d.: daléj całych okolic, okręgów, z wyszczególnieniem jak się mieszkańcy od tego nazwiska miejscowego nazywają; wreszcie dawnych i nowych nazw, podwójnych i potrójnych, urzędowych i ludowych i t. d. Trzeba jednem słowem, aby ani jedna nazwa jakiejkolwiek miejscowości nie została niezapisaną. Jeżeli jedno nazwisko powtarza się kilka lub więcéj razy, to dość raz je zapisać, ale wymienić gdzie i jak często się ono spotyka. Wskazać także jak miejscowi mieszkańcy tłomaczą sobie pewne, najczęściéj trudniejsze do wyjaśnienia nazwiska; czy nie

ma do nazwy lub miejscowości przywiązanego podania jakiego; w takim razie podanie zapisać oddzielnie a tu na kartce umieścić u góry z lewej strony C. wielkie, pod niem powiat, z prawéj strony parafję lub wieś, po środku same nazwisko, z dodaniem pomienionych objaśnień.

(d. c. n.)

Z Petrokowa do Kielc

Wspomnienia z podróży historyczno-przemysłowe spisane à vol de voiture.

Jadąc szosą z Petrokowa do Kielc, można się napatrzeć różnym ludziom i różnym rzeczom. Ludzie powiadają o sobie że są najważniejszą rzeczą na świecie, a rzeczy, to jest materja, powiada znowu że jest przedwieczną i wieczną i wyższą od człowieka, bo i człowiek powstał z materji. Ale jadąc z Petrokowa do Kielc, nie myślałem wcale ani o materji, ani o znaczeniu człowieka na ziemi, tylko widziałem że na całéj przestrzeni, od Petrokowa do Miedzianéj góry ludzie są bardzo nieładni, bardzo nie zgrabni i bardzo nieweseli — prawie ponurzy. Jestem sobie dziwny człowiek i jak tylko widzę same brzydkie kobiety, staję się zaraz smutnym i złym.

Czy w mieście czy na wsi, czy w drodze, czy na popasie, bardzo jest przyjemnie spotkać się z ładną kobietą. Od Miedzianéj góry do Kielc i w samych Kielcach twarze ludzkie zupełnie inne. Mężczyzni zgrabniejsi i weselsi a kobiety przystojniejsze, nawet nie rzadko piękne. Niech żyją za to zdrowe nasze Krakowianki!

Tyle o ludziach w ogólności. O indywiduach żyjących przy szosie petrokowsko-kieleckiéj byłoby wiele do powiedzenia. O tem potem.

Kilka słów o rzeczach.

Petroków był niegdyś prawie małą stolicą dawnéj Polski przez swoje sejmy i Trybunał. Kiedym w r. 1834 i 5 chodził tu do gimnazjum, był ciasny i brudny, teraz bardzo wyładniał; rozrósł się i ustroił w nowomodną sukienkę. Szkoda starych pamiątek, ale i teraźniejszym czasom także się coś należy.

Straszna rzecz z kolei żelaznéj dostać się odrazu na kolej wozową. Zdaje ci się że cię jakiś zły duch w ślimaka zamienił. Jedziesz a jedziesz a drogi ci nie ubywa, ale za to lepiéj widzisz, co się naokoło ciebie dzieje.

O dwie mile od Petrokowa nad rzeką Pilicą, leży miasto, a raczéj miasteczko Sulejów, kiedyś sławne swojem opactwem i wielkiemi lasami, do których na łowy przyjeżdżali często królowie polscy. Dziś ma bogate łomy wapna, które podobno za najlepsze u nas jest uważane i daleko się ztąd rozchodzi. Bardzo wierzę, wapno to niezmiernie ważna rzecz w gospodarstwie ludzkiem. Bez wapna nie mógłby człowiek wystawić sobie kościoła, pałacu, kamienicy ani nawet dworku porządniejszego... a gdzieżby się modlił i gdzieżby się rozpierał. Można wprawdzie budować na glinie i z drzewa, ale to się prędko rozpadnie i spruchnieje. Takiem wapnem w gospodarstwie społecznem jest nauka i moralność. Kto na nich buduje stawia gmach niepożyty, kto na ciemność i marnotrawstwo buduje tego budowanie prędko się zapadnie.

O dwie mile od Sulejowa jest stacja pocztowa w Wielkiéj woli. Miejsce to w swoich stronach nazywa się Paradyzem. Jest tam gdzieś na świecie Sans-souci, to nie ma żadnéj ważnéj przyczyny, żeby część Wielkiéj Woli nie miała się nazywać Paradyzem. Prawda że Sans-souci mogło być bez kłopotu, bo należało do Fryderyka Wgo, za to Paradyz nie wygląda wcale na raj. Może przygotować do raju bo ma wielki i dobrze utrzymany klasztor Bernardynów, ale rajem na ziemi być nie może, chybabyśmy uwzięli się uważać za raj duży plac piaszczysty, kilka domków schludnych naokoło niego, pocztę, kancelarję Wójta gminy i oberżę karczmę, w któréj dostanie herbaty nie chińskiéj, wódki nie gdańskiéj, półgęska nie strasburgskiego i kiełbasy nie krakowskiéj, wszystko w najlepszym gatunku że i o Warszawie zapomnisz.

Nasyciwszy się temi delikatesami à la Stępkowski, jedźmy daléj.

Na saméj połowie drogi z Petrokowa do Kielc, leży wieś Ruda Maleniecka. A tout seigneur toute honneur. Ruda jest na całym tym trakcie brylantem między piaskami, lasami i górami.

Ma dworek drewniany, który pomału pragnie zamienić się w dwór murowany. W dworku tym mieszkają w prawdziwie patrjarchalnéj zgodzie dwie rodziny i pracują razem zacnie i rozumnie na kawałek chleba.

Przed dworkiem na południe jest sadzawka z rybami, a za sadzawką ciągnie się szosa po któréj żwawo się uwijają poczty, ekstrapoczty, karety pocztowe, powozy pańskie, wózki włościańskie, bryki furmańskie i transporta żelaza i węgla. Na zachód wznosi się kaplica w stylu prostym; z godłem: Wiara, Nadzieja i Miłość. Nabożeństwo często się w niéj odprawia a nawet dwa razy do roku bywają uroczyste odpusty.

Ruda Maleniecka ma wiele wody i tuż obok wiele lasów. Nad wodami ruch, w lesie cisza. Ale na to wszystko ma Ruda daleko droższą rzecz, bo kopalnię żelaza. Stoi więc rzeczywiście na żelaznéj podstawie. Wydarta z wnętrzności ziemi ruda żelazna, rzucona na stosy węgla w dwóch ognistych piecach w Miedzierzy i Cieklińsku, oddaje właścicielom swoje skarby w surowcu, który potem w pudlingarni i walcowni rudzkiéj, przerobiony na czyste żelazo, rozchodzi się po świecie w różnych kształtach. Cecha właścicieli zakładów żelaznych w Rudzie wszędzie jest bardzo poszukiwaną, a nawet w Warszawie bardzo jest znaną. Przy zmianie stosunków włościańskich gospodarstwa rolne muszą się wspomagać przemysłem i narzędziami rolniczemi. Dla tego to właściciele zakładów w Rudzie, otworzyli u siebie warsztaty narzędzi rolniczych, które dla wybornego odrobienia i dla ceny znacznie niższéj od ceny innych fabryk, powinny być bardzo pokupne. Mają do tego bardzo zdolnego dyrektora p. Wolskiego, który w nawiasie powiedziawszy, ożenił się ze znaną literatką Lilianą.

Ponieważ Ruda leży w samym środku między Petrokowem i Kielcami, ma także oberżę karczmę, przed którą pełno zawsze ekwipażów, nie wchodzących w system pocztowy, i pełno gości wewnątrz w izbie szynkowéj i w jedynym gościnnym pokoiku, bardzo skromnym, jak przystało na biedne kieszenie. Cywilizacja w rudzkiéj karczmie wysoko się już posunęła. Oprócz swojskich artykułów można tu już dostać i zagranicznego piwa bawarskiego z browaru w Szydłowcu; zagranicznych serdelków z Kielc i zagranicznych papierosów z wielkiéj fabryki p. Kronenberga w Warszawie. Ruda należała dawniéj do rodziny Jezierskich, a potem była własnością ks. Hessen-Kassel o czem świadczy napis na frontonie zakładów w Cieklińsku. Dzisiejsi właściciele, kupili ją od Banku.

Minąwszy Rudę Maleniecką jedzie się ciągle rządowemi lasami aż do stacji pocztowéj we Mniewie. Jest to ładna wioska z kościołem, u stóp wysokiéj góry. Należała dawniéj do dóbr znakomitéj rodziny Wielohórskich, dziś należy do bankiera Mühlrada.

Od Mniewa do Kielc przebywa się trzy malownicze, dosyć wysokie góry, należące do łańcucha gór Ś-to Krzyzkich. Między pierwszą a drugą znajdują się wielkie zakłady, jeszcze za ks. Lubeckiego wzniesione; dziś niestety, stoją pustkami, a nazywają się Bobrza. Nie znam się na tem i nie wiem czyby się mogły przydać teraz na co, ale mi żal pieniędzy wyrzuconych na darmo. Przecież ks. Lubecki umiał doskonale rachować, dla czego się przerachował tutaj?..

O pół mili od Bobrzy leży wieś Miedziana Góra. Były to dawniéj bogate kopalnie miedzi, dziś nic tu już nie kopią, domy górników walą się tylko ogródki przy nich uprawiają do dziś dnia... kto? zapewne ich spadkobiercy.

Po nad wsią na górze stoi kapliczka św. Barbary patronki górników. Na prawo widać ładny kościół w Chełmcach, prosto przed nami karczówkę z klasztorem Bernardynów a i Kielce pokazują z daleka dwie swoje katedry: katolicką i prawosławną.

Kiedy byłem młody, bywałem często w Kielcach. Ale od 30-u lat pierwszy raz widziałem tego roku Kielce. Jakże się zmieniły i to na lepsze! Ulice się zabudowały ładnie domami, sklepy pobogaciły, szczególniéj na ulicy Dużéj, ruch dosyć żywy, a co wtorek na targach ujrzysz mnóstwo ludzi, zwierząt, leguminy i nabiału: życie wre że aż miło!

Moje serce rozradowało się bardzo tym widokiem a w dodatku, z wielkiem mojem zadziwieniem znalazłem tu dwie nowości, którychbym się był nigdy widzieć w Kielcach nie spodziewał. Oto żydów i gazetę miejscową. Żydom pozwolono mieszkać tu, bo dawniéj niewolno im było nawet nocować w mieście, jako założonem przez biskupa. Pismo perjodyczne literackie i polityczne urodzone i kwitnące w Kielcach, to nie byle jaka także niespodzianka. O żydach nie mam nic do nadmienienia, ale Gazetę Kielecką pozwalam sobie obmówić, że podobna do staréj kumoszki koteryjnéj plotkarki, która gada na oślep dlatego, aby gadać i nie zawsze udatnie.

Kiedy dwa lata temu jeden z moich przyjaciół jechał tym traktem na kurację do Buska, kiedy bryczka pocztowa niemiłosiernie trzęsąca poturbowała jego chore członki, a deszcz przemoczył do nitki, to klął na czem świat stoi, taką komunikację lądową. I pod tym względem wiele się tu już zmieniło. Od miesiąca chodzą codzień z Petrokowa do Kielc karety pocztowe wygodne i ładne, a od jednéj osoby pobierają dwa i pół rubla. Jest to dogodność nieopłacona i możemy ją wszystkim jadącym do Buska polecić.

X.

KORESPONDENCJA.

Pani F. Tur: Przyjaciel Dzieci na rok cały kosztuje z przesyłką pocztową rs. 4. Świat muzykalny rs. 4 kop. 80.

Panu F. Kali. Wędrowiec za rok przeszły kosztuje rs. 6.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066k) Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIEŃ MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Pan Michał jeszcze nie spojrzał na nas, tylko szybko i z ruchem, który niekoniecznie mógł nazwać się zgrabnym, zbliżył się do żony i kilka pocałunków wycisnął na podanéj mu rączce.

— Michasiu! mamy gości! powtórnie upomniała go żona, tym razem już było trochę niecierpliwości w jéj głosie.

— A, przepraszam! przepraszam! zawołał z pomieszaniem odwracając się do nas. Co widzę? Panna Emilja i panna Wacława! Ach tak, żona moja mówiła mi wczoraj, że panie przyrzekłyście dzisiejszy dzień z nami przepędzić! Jakże dawno nie widziałem się z paniami! jakże się panie mają?

Mówiąc to chwycił się obu rękami za poręcze fotelu, potem poprawił sobie niemi krawat, który i bez tego w należytym zostawał porządku, potem schował je do kieszeni i tak na chwilę wstrzymawszy poruszenia drogocennych organów pracy człowieczéj, popatrzył na nas przez parę sekund w milczeniu. Poczem jakby nagłą a serdeczną powodowany myślą, zbliżył się i pocałował nas obie w ręce, a gdy witałyśmy go wzajemnie przychylnemi wyrazami, ukłonił się nam kilka razy i usiadł, fotel swój przesunąwszy najprzód do fotelu swéj żony jak można było najbliżéj.

Mimowoli rzuciłam okiem na księgę marzeń, która leżała przede mną otwarta na stronnicy przyozdobionéj portretem pięknego Włocha i pomyślałam, że zaprawdę powierzchowność nieznanego, musiała wiele zyskiwać na sąsiedztwie z panem Michałem. Gdy podniosłam oczy zobaczyłam twarz Zeni z naiwnym niemal uśmiechem zwróconą ku mężowi. Położyła rączkę na jego ramieniu i rzekła swoim dźwięcznym pieszczotliwym nieco głosem:

— W samą porę przyszedłeś tu Michasiu...

Michał błysnął rozradowanemi oczami i dwa razy pocałował rączkę na jego ramieniu opartą, przy czem własna jego ręka niezaniedbała uczynić kilku koniecznych poruszeń. Przyszedłeś w samą porę, ciągnęła Zenia, potrzebuję twojéj pomocy i wzywam cię, abyś roztrzygnął sprzeczkę pomiędzy mną a Emilką...

Tu do reszty rozradowany Michał przerwał mówiącéj pocałunkiem w rękę.

— Ale dość już tego! jeżeli mi tak ciągle będziesz przeszkadzał, nigdy nie skończę mówić! zawołała Zenia z pół figlarnem, pół kapryśnem nadąsaniem.

— Nie będę już, nie będę mój aniołku, wymówił Michał, wpół uradowany, wpół przestraszony jéj lekkim gniewem.

— Michasiu! rzekła Zenia lekko uderzając nóżką w posadzkę, ileż razy prosiłam cię abyś mię nie nazywał aniołkiem. To parafjaństwo!

— Nie będę, już nie będę! mój anioł... ma chère amie, szybko poprawił się małżonek.

— Otóż to! teraz używasz francuzkiego wyrazu, chociaż nie mówisz po francuzku i to śmieszność także!

I z minką niecierpliwości cofnęła rękę z ramienia męża i odwróciła się od niego zadąsaną twarzyczką. Michał na dobre już przestraszony i zmartwiony, pochwycił rękę jéj zanim jeszcze spoczęła na sukni, i całując ją mówił z prawdziwą skruchą:

— Przepraszam cię mój anioł... ma che.... moja droga Zeniu... przepraszam cię...

— Tak to dobrze! prosiłam cię abyś nie nazywał mię nigdy inaczéj jak Zenią i nie dawał mi żadnych innych przezwisk... teraz przystępuję do rzeczy... nieprzeszkadzajże mi już tylko...

I rozpogodzoną znowu twarz zwróciwszy do męża, z wielkiem przejęciem się i z cechującą ją żywością i zapałem, zaczęła mu opowiadać o tem co przyrzekła Emilce, że ona odrzuciła jéj ofiarę, o nadziejach wydania ją za mąż gdyby zamieszkała u niéj, o tem że Emilka jest przygotowaną na zostanie starą panną i na klejenie przez całe życie pudełek albo oprawianie książek.

Michał słuchał ją z wielkim skupieniem ducha, połykał wyrazy i znać było że zastanawiał się głęboko, bo spuścił głowę, wpatrzył się w posadzkę a ręce jego przestały szukać w przestworzu punktu oparcia i spokojnie spoczęły na kolanach.

— Wzywam cię kochany Michasiu, kończyła Zenia któréj w czasie opowiadania łzy nabiegły do oczu, wzywam cię,abyś był sędzią pomiędzy mną a Emilką. Jesteś mężczyzną, a zatem więcéj masz od nas praktycznego doświadczenia, a chociaż gderzę na ciebie czasem, ufam jednak twemu zdrowemu rozsądkowi! Powiedz więc kto tu ma słuszność, ja czy Emilka? i czy dobrze jest z jéj strony, że nie chcąc zamieszkać ze mną, wyrzeka się nadziei stosownego wyjścia za mąż, a skazuje się na staropanieństwo i wieczyste klejenie pudełek?

Michał milczał dobre parę minut, parę razy podniósł głowę i spojrzał na Zenię, potem spuścił ją znowu i zsunął brwi jakby pod wpływem namysłu, potem podniósł na żonę wzrok prawie nieśmiały i zapytał.

— Więc chcesz wiedzieć moje zdanie?

— A naturalnie, zawołała Zenia wzruszając ramionami, inaczéj nie pytałabym się o nie.

Michał milczał jeszcze trochę, znowu parę razy spojrzał na żonę, a potem jeszcze raz spytał?

— Więc chcesz abym ci objawił moje zdanie? moja droga Zeniu. Widocznie odbywała się w nim walka.

— Jakiś ty śmieszny! odpowiedziała młoda kobieta, znowu lekko nadąsana; czyliż obawiasz się powiedzieć co myslisz?

— Nie, nie... podchwycił Michał, tylko że widzisz mój anioł... moja Zeniu, że ja myślę trochę inaczéj niż ty...

Zenia spojrzała na niego zdziwionemi oczami, ale zarazem dotknęła znowu jego ramienia i łagodnie rzekła:

— Więc powiedz nam jak myślisz.

Natenczas Michał pocałował ją znowu w rękę i rzekł:

— A więc nie gniewaj się moja droga Zeniu, że powiem trochę inaczéj niż ty mówiłaś!

Mówiąc to niespokojnym wzrokiem ścigał wyraz twarzy Zeni, niby obawiając się ujrzeć na niéj rozgniewanie. Ale Zenia zamiast gniewać się z zajęciem i oczekiwaniem patrzyła na niego.

Do najwyższego już stopnia ośmielony tem Michał, podniósł zupełnie głowę i zaczął mówić:

— Otóż ze wszystkiego com słyszał uważałem, że panna Emilja życzy sobie prowadzić niezależne życie i mieć jakieś wyłączne zatrudnienie, któreby jéj było pożyteczenem i przyjemnem, a ty droga Zeniu pragniesz, aby zamieszkała z nami i prowadziła taki sposób życia, jaki my prowadzimy... zdaje się że o to idzie...

Tu zwrócił się do Emilki i ciągnął daléj:

— Otóż spodziewam się że panna Emilja nie wątpi, że panie obie nie wątpicie, że panie wszystkie trzy nie wątpicie, iż dla mnie pobyt panny Emilji w naszym domu,byłby bardzo przyjemnym, i że szczerze bym pragnął, aby siostra mojéj żony mieszkała z nami. Wszak panie nie wątpicie o tem nieprawdaż? bo gdybyście o tem wątpiły, byłoby to mi bardzo, bardzo przykro!

Ostatnie wyrazy wymówił z taką niespokojnością w głosie, a oczy jego z tak poczciwym wyrazem patrzyły na Emilkę, że w istocie niepodobna było ani przypuszczać ażeby mówił nieprawdę. Chórem więc upewniłyśmy go, że wierzymy w jego najlepsze względem Emilki chęci i prosiłyśmy aby mówił daléj. Rzucił spojrzenie na żonę i widząc że patrzyła na niego łagodnie i z ciekawością, powiódł ręką po włosach, dotknął nią dzwonka stojącego na stole, poprawił krawat i znowu zaczął mówić:

— Otóż to! chociaż bardzobym pragnął aby panna Emilja zamieszkała w naszym domu, ale skoro jéj się zdaje że inny sposób życia będzie dla niéj korzystniejszym i przyjemniejszym, to znajduję... znajduję że każdy człowiek ma prawo rozporządzać się sobą jak mu się podoba i urządzać sobie sposób życia jak mu się wydaje najlepiéj... nikt nie może wiedzieć co drugiemu może być milsze i pożyteczniejsze... są różne wyobrażenia jak różne gusta... jeden lubi kolor błękitny a drugi różowy... jeden myśli tak a drugi inaczéj, a każdy idzie za swojem wyobrażeniem i za swoim gustem.

Mówił to wszystko z wielkiem namysłem a im dłużéj mówił, tem więcéj fizjonomja jego nabierała wyrazu pojętności i oczy się rozjaśniały. Po chwili zaczął znowu:

— Co do tego że panna Emilja życzy sobie pracować nad klejeniem pudełek i oprawianiem książek, nie widzę coby w tem było złego. Każda praca dobrą jest, a są ludzie którzy nie mogą żyć bez pracy... nudzą się bez pracy i próżniactwo męczy ich więcéj jak robota. Może p. Emilja do takich ludzi należy, wszak sama najlepiéj musi o tem wiedzieć, a jeżeli należy do takich ludzi to niech sobie i pracuje. Wszak ludzie i pudełek i oprawy książek potrzebują, a zgrabne rączki kobiece jeszcze lepiéj to zrobić potrafią jak ręce męzkie...

Przerwał sobie na chwilę i spojrzał znowu na żonę. Ale wyraz twarzy Zeni okazał mu się znać zniechęcającym do dalszego mówienia, bo wnet kończył mówić.

— A co do tego że p. Emilja prowadząc sposób życia inny niż my prowadzimy i klejąc pudełka za mąż pójść nie może, to wcale nie jestem tego zdania. Złoto, panie dobrodzieju, i w popiele świeci.

Ktoby się poznał na pannie Emilji i pokochał ją w salonach i na tańcach, ten pozna się na niéj i pokocha ją w skromnym domku i nad klejeniem pudełek, a mnie się zdaje, że inaczéj niewarto wychodzić za mąż jak będąc dobrze poznaną i prawdziwie kochaną... inaczéj lepiéj jest wcale niewychodzić za mąż... Oto jest moje zdanie.

Powstał z fotelu i wyprostował się całą swą wysoką postacią.

Twarz jego była już całkiem ożywiona, oczy rozjaśnione i rozsądne.

— Co zaś do tego jeszcze, kończył, że panna Emilja może kiedykolwiek doświadczyć niedostatku, tego dalibóg, nie będzie nigdy, mój majątek jest majątkiem Zeni, a ja jestem bardzo szczęśliwy, jeśli ona używa go jak się jéj tylko podoba. Dopóki ja żyję nikt z tych których Zenia kocha cierpieć nie będzie niedostatku, dom mój, szkatułka i serce otwarte zawsze dla tych, których Zenia kocha, a jeżeli ja umrę majątek mój zostanie się dla Zeni i podzieli się nim z tymi których kocha...

Umilkł, oczy jego błyszczały wewnętrzną pogodą i poczciwem gorącem uczuciem. W téj chwili nie był wcale brzydkim, owszem miał w sobie pewną rzewną, prostą, nieledwie wzniosłą w swéj prostocie piękność.

Milczałyśmy wszyskie kilka sekund, Emilka pierwsza wyciągnęła do szwagra rękę i wzruszonym z serca idącym głosem powiedziała prosto.

— Dziękuję.

Spojrzałam na Zenię. Patrzyła na męża zasmuconym wzrokiem, ale z za tego smutku widniało pewne zadowolenie, połączone z niewiedzącą może o saméj sobie czułością.

— Więc wszyscy jesteście przeciwko mnie? wyrzekła smutnym głosem, a cóż robić? Niechaj więc niepoczciwa moja siostra, żyje jak się jéj podoba i klei sobie swoje pudełka, ale zarazem niech wie i o tem, że ma siostrę która dzięki swemu poczciwemu Michasiowi, w każdéj chwili przybiedz jéj może z opieką i pomocą...

To mówiąc powstała, zbliżyła się do męża a położywszy obie ręce na jego ramionach popatrzyła mu w twarz, i wspiąwszy się na palce pocałowała go w czoło. Niebiański zachwyt rozpromienił twarz Michała. Silnem swem ramieniem objął szczupłą kibić żony i kilka razy pocałował ją w usta. Zwinna i gibka Zenia wysunęła się z jego uścisku, a sięgnąwszy do kieszonki szlafroka zawołała nagle: Michasiu! zapomniałam mojéj chusteczki w bawialnym salonie: pójdź mi ją przynieś!

Atletyczny Michał poskoczył z żywością szesnastoletniego chłopca i zniknął za zasłoną. Zenia wyciągnęła wskazujący palec w kierunku drzwi którémi mąż jéj wyszedł, i rzekła półgłosem do nas.

— On taki zawsze: milczy, patrzy mi tylko w oczy i jak ognia lęka się każdego mego niezadowolenia. Ale pomimo to jeśli nie podziela w czemkolwiek mego zdania, nigdy nie zamilczy, ale zawsze powie mi swoje... wprzódy naturalnie ze dwadzieścia razy pocałowawszy mię w rękę!...

W téj chwili lokaj oznajmił podany obiad. Powstałam i składałam na biórku w aksamit oprawne książki. Wypadkiem księga *marzeń* otworzyła się w mojem ręku na karcie z portretem p. Michała i podpisem u dołu: *poczciwy, dobry Michaś!* Mimowoli pomyślałam, że kto wie, może piękny nieznany z namiętną i zarazem uczuciową postacią, niezupełnie by zyskiwał na porównaniu z dobrze poznanym Michałem?

Takim sposobem pobyt u nas Emilji został pomimo oporu Zeni stanowczo postanowionym; obie siostry uścisnęły się ze łzami w oczach a Zenia znowu powtórzyła z cicha: „kto wie? może ja cię i rozumiem Emilko!"

Potem długo nie odzyskała swéj wesołości: przy stole i przy obiedzie siedziała zamyślona i usłyszałam że parę razy westchnęła tajemnie. Coraz widoczniejszym stawał się dla mnie jakiś brak równowagi moralnéj, psującéj spokój téj młodéj i powabnéj kobiety. Otoczona wszystkiem co mogło życie uczynić pięknem: miłością, przyjaźnią, bogactwem, nie czuła się jednak szczęśliwą. Zdawało się że szukała wciąż czegoś w sobiei koło siebie a nieznajdując popadała w zadumy, w czasie których błyszczące oczy jéj zachodziły mglistą powłoką znużenia, twarz traciła wyraz błyskawicznego życia jaki ją cechował i niby w udręczeniu wewnętrznem opadała na dłoń drobną. Byłyżby to kaprysy rozpieszczonéj szczęściem i powodzeniem istoty, czy skutek chorobliwego rozigrania jéj wyobraźni? Czy może dotkliwe poczucie jakiejś pustki w sercu i w życiu, któréj zapełnić nie mogły ani rozrywki i połyski, za któremi goniła tyle, ani nawet czułość męża otaczająca ją tysiącem względów i serdecznych objawów? I dziwna rzecz! z pomiędzy tych dwóch siostr tak różnych doświadczających losów, Zenia bogata, strojna, pełna życia, blasku i zewnętrznéj ponęty, wydawała się mniéj spokojną i zadowoloną od ubogiéj, cichéj, i niepokaźnéj Emilki.

Spostrzeżenia te czyniłam w czasie poobiedniéj z dwoma małżonkami rozmowy. Zenia po wesołości porannéj wpadała w coraz częstsze zamyślenia, rumieńce znikały z jéj policzków, chwilami zdawało się, że wszelka myśl w niéj omdlała, bo opierała głowę na tylnéj poręczy fotelu, przymykała oczy i tłumiła poziewanie albo westchnienia. Byłaż smutną czy znudzoną? Nie mogłam tego rozróżnić, ale za to wyraźnie dostrzegłam w niéj tę zmienność humoru, która jest objawem niezadowolonéj duszy, wynikiem pustego życia i rozigranéj wyobraźni. Michał z doskonałym taktem towarzyskim, którego tak trudno było spodziewać się sądząc z powierzchowności, podjął się w zastępstwie zamyślonéj żony podsycania i ożywiania rozmowy, mówił wiele o zagranicznych krajach w których przebywał wraz z żoną, uważałam że uwagę jego zwracały daleko mniéj miasta jak wsie i wszystko co się wsi tyczyło. Nie mówił on wcale o objawach sztuk lub nauk, ale o uprawie roli w różnych stronach świata, o płodach rolnych i ich gatunkach, o ludnościach wiejskich i ich naturze. Parę razy mówiąc o tem wszystkiem westchnął i zamyślił się na moment. Daru wymowy nieposiadał i owszem wyrażał się z trudnością znać było że myśli powoli powstawały i z trudnością kombinowały się w jego głowie, czasem się jąkał, czasem używał gminnych wyrazów i prowincjonalizmów, z tem wszystkiem jednak gdy się rozgadał, mówił wcale przyjemnie i spostrzegłam, że nietylko nie brakowało mu zdrowego rozsądku, ale że nawet sąd jego był bardzo trafny i sięgający głębiéj w istotę rzeczy o których mówił. Pod wieczór Zenia otrząsała się ze swych zadum i znowu się ożywiła. Pokazywała nam mieszkanie swoje, suknie, bogatą biżuterję, różne pamiątki z podróży przywiezione, śmiała się, opowiadała, rozmawiała, przebiegała salony zasłane kobiercami cicho jak myszka, lekko jak motylek, aż gdy zmrok zaczął zapadać i Michał oddalił się na moment, upadła na sofkę, objęła ramionami mnie i Emilkę i patrzyła nam z kolei w twarzo. Nagle łzy zakręciły się w jéj oczach, ukryła twarz na mojéj piersi i wybuchnęła płaczem. Spojrzałyśmy po sobie z Emilką pomięszane, nieledwie Co jéj było? Miałażby w istocie doświadczać jakiegoś tajemnego a wielkiego cierpienia, które objawia się w tak nagłych łzach i łkaniach? Nie wiem dla czego żadna z nas nieśmiała ust otworzyć, aby zapytać ją o to. Po krótkiéj jednak chwili sama podniosła głowę z uśmiechem. Przebaczcie mi moje drogie, rzekła składając ręce i nie trwożcie się o mnie. Ot, sama nie wiem czego zapłakałam.., c'etait plus fort que moi...

— Ale cóż ci jest? co cię tak dręczy? zawołała Emilka z trwogą obejmując siostrę.

Zenia milczała chwilę, potem zerwała się i stanęła naprzeciw nas z rozpłomienionemi oczami. Czy pamiętacie, wymówiła z cicha i spiesznie, czy pamiętacie jakiem wam mówiła przed ślubem, że wcale nie czuję w sobie serca?

Położyła rękę na piersi, podniosła oczy w górę i dodała.

— Otóż teraz czuję je, czuję...

— Zeniu, przerwała smutnie Emilka, spodziewam się że kochasz swego męża.

— O! on taki dobry, taki poczciwy, taki zacny! przerwała Zenia z wielkim naciskiem prawdy i zapału w głosie i dodała ciszéj; ale on mnie nie rozumie...

Była chwila przykrego dla nas wszystkich trzech milczenia.

— Przepraszam cię Zeniu, odezwałam się pierwsza, ale nie wiem dobrze co jest w tobie takiego czego twój mąż nie rozumie...

Zenia zmięszała się trochę.

— Ja pragnę miłości.., wyszeptała cichutko.

— Alboż pan Michał cię nie kocha? zagadnęła Emilka.

— O, nadzwyczajnie; miłość jego dla mnie nietylko nie zmniejszyła się od czasu jakeśmy się pobrali, ale wzrasta z dniem każdym, nie możecie nawet wyobrazić sobie jaki on dla mnie dobry.

— A więc ty go nie kochasz? zagadnęłam z kolei.

Zenia zrumieniła się szkarłatem, spuściła głowę i oczy i milczała.

— Może spostrzegłaś w mężu twym coś co ci niepozwala zupełnie go szanować? smutnie spytała Emilka.

Zenia energicznie podniosła głowę.

— O nie, nie, zawołała, jak względem mnie tak względem wszystkich, jest on najlepszym, najgodniejszym człowiekiem!...

— A jednak te zalety wcale cię dla niego niezjednały.

— I owszem, wymówiła Zenia po chwili namysłu, mam dla niego szczerą przyjaźń, wielką wdzięczność i tak się do niego przywiązałam, że ile razy rozstawaliśmy się na jeden dzień, nie mogłam sobie dać rady, tak mi było bez niego nudno i tęskno.

— A jednak...

— A jednak przerwała mi Zenia, to uczucie jakie powzięłam dla Michała jest tak spokojne, chłodne, powszednie, że wcale nie zaspakaja pragnień mego serca. Tęsknię do silnych wzruszeń, tych niezmiernych trwóg, radości i cierpień jakie daje miłość, któréj nigdy niedoświadczyłam ale o któréj tyle słyszałam, czytałam, którą przeczuwam. Widmo téj miłości gonię w gwarach i tłumach światowych, o niem śnię w chwilach samotnych, wyrzucam to sobie a nie mogę się od tych rojeń obronić. Czuję się winną względem Michała, a jednak nie może być inaczéj.. to wszystko mię dręczy, spokoju nie daje, psuje humor i prędko do grobu sprowadzi.

Ostatnie wyrazy ułagodziły nam znacznie przykre wrażenie, jakiego doznałyśmy przez wyznanie Zeni. Na wzmiankę o *grobie*, nie mogłyśmy obie z Emilką

powstrzymać się od uśmiechu. Zenia nie spostrzegła tego. Wpatrzyła się w księżyc, który widniał za wielkiemi szybami okien, a twarz jéj okryła się znaczącym wyrazem. Czy pamiętacie, ukochane moje, stłumionym mówiła głosem, czy pamiętacie tę dawną, dawną rozmowę naszą, w której pytałyście mię co uczynię z mojem sercem jeśli wyjdę za mąż bez miłości? Odpowiedziałam wam, że zawieszę je na promieniu księżyca i żywić go będę poezją, marzeniem, rosą i słanemi zdala westchnieniami bohaterskiego kochanka... Otóż drogie moje, przekonałam się że mówiłam jak dziecko... rosa i marzenia niewystarczają, biednemu sercu drżącemu w przestworzu, a bohaterskich kochanków którzyby zdaleka chcieli tylko wzdychać....

— Nie ma na świecie, dopowiedziałam z mimowolnym uśmiechem.

— Nie ma, jak echo powtórzyła Zenia patrząc ciągle w księżyc. Z gniewem zacisnęła ręce i zawołała: Ci mężczyzni są wszyscy tacy prozaiczni, materjalni, zuchwali... Jak tylko pokażę któremu z nich moje serce zawieszone na promieniu księżyca, zaraz okazują chęć ściągnięcia go na ziemię... Żaden nie umie marzyć, wzdychać, poświęcać się i cierpieć w milczeniu...

— A ty Zeniu nie pozwolisz nikomu zdjąć swego serca z tego promienia i ściągnąć je na ziemię... nieprawdaż? z pośpiechem pełnym niepokoju zawołała Emilka.

Zenia potrząsnęła głową. O nikt go ztamtąd nie zdejmie i nie ściągnie na ziemię...

— Ja to uczynię, mój aniele, zabrzmiał za nami miękki i łagodny głos Michała.

Zenia drgnęła i zwróciła wzrok z księżyca na twarz męża, który uśmiechał się wesoło i patrzył na nią z czułością.

— Cóż to? Michasiu, zawołała na wpół z wymówką na wpół z trwogą, podsłuchujesz nasze rozmowy!

— Bynajmniéj, odparł Michał, zbliżając się do drzwi usłyszałem tylko ostatnie twoje wyrazy, i naturalnie jako twój prawy i kochający małżonek, wyraziłem chęć zabrania sobie serduszka o którem mówiłaś...

Rzekłszy to pocałował żonę w obie ręce i postawił przed nami trzy bombonierki, po które umyślnie chodził był do miasta. Potem zaczął żartować z Emilki, pytając ją czy którakolwiek z przyniesionych przez niego bombonierek nie jest dziełem jéj rączek.Pomimo jednak wesołości Michała z jaką rozmawiał z nami, miałam niby przebłysk pojęcia, że doskonale rozumiał on bolesny dla niego sens zawierający się w słowach Zeni jakie usłyszał, że co więcéj rozmarzony i rozdrażniony stan duszy jego żony, nie był mu wcale nieświadomym. Gdy wnieśli światło i mogłam lepiéj przypatrzyć się twarzy Michała, dostrzegłam w niéj pewne znaki których nie widziałam wprzódy. W bladych zwykle jego źrenicach przesuwały się energiczne połyski niby wspominki silnego wewnętrznego postanowienia. Gdy spoglądał na żonę, po łagodnych ustach jego przebiegał wyraz rzewności i smutku, a jednak rozmawiał ciągle jeśli niewymownie i dowcipnie, to jednak uprzejmie i rozsądnie, a z ciągłą niewzruszoną łagodnością i spokojem.

Pojęłam wtedy do reszty, że Michał nie był wcale ak prostym i pospolitym człowiekiem jakim się zrazu wydawał, i przypomniawszy sobie słowo przed chwilą wyrzeczone przez niego, pomyślałam iż bardzo być może, że to biedne serce rozpoetyzowanéj i rozmarzonéj kobiety, zawieszone przez nią na drżącym promyku księżyca, jemu się właśnie dostanie na zawsze.

(d. c. n.)

PRZEGRANA I WYGRANA

POWIEŚĆ DAISY H.

PRZEŁOŻONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Oskara Stanisławskiego.

W nieustającym prądzie spraw życia ludzkiego zdarza się zawsze pewna chwila przypływu, która zręcznie pochwycona wiedzie człowieka nieomylnie do szczęścia i fortuny. „Tak mówi pewien autor (Willam of Avon), chociaż dodaje zarazem: „że trudno jest bardzo upatrzyć chwilę tego szczęśliwego przypływu." Co do mnie, przekonany jestem, że chwili téj nie było jeszcze w ciągu mojego żywota, którego sprawy, zawsze mniéj więcéj ulegają tylko przeciwnéj sile, to jest sile odpływu. Dopóki też ów pomyślny „przypływ" nie nadejdzie, kieszeń moja zapewne będzie zawsze pusta, a ja w końcu przywiedziony zostanę do téj miłéj ostateczności, zakończenia dni moich w szpitalu lub w najlepszym razie szukania przytułku w mojem miejscu rodzinnem, na koszcie moich współ mieszkańców. Staraj się nie uczynić tego, Filipie, mój chłopcze, boć wiesz jak bolesnym jest taki los, zwłaszcza, jeżeli człowiek nie widzi środków uniknienia tak smutnego przeznaczenia!

Temi słowy przemawiałem do siebie zwróciwszy się do méj fajki, która dając małemi kółeczkami dymu ostatni znak życia, miała już zagasnąć w ciągu mojego smutnego monologu.

A były to właśnie czasy, kiedy mi na wszelkim zbywało páliwie i kiedy moja biedna, stara pianka, dar jednego z towarzyszów szkolnych, przymuszoną była zastępować miejsce innych środków ogrzewających.

Zkąd takie utyskiwanie na losy, których przeciwności najwyższego dosięgnąć zdawała się już stopnia i blizkim grozić mi upadkiem? opowiem to zaraz czytelnikowi.

Rzecz tak się miała: Ja, Filip Nashe, właśnie przed rokiem przybyłem do Clevedon, jako wykwalifikowany doktór medycyny. Mając bowiem stopień naukowy, odpowiedni dyplom, uznałem, że najważniejszą i najpilniejszą wtedy rzeczą było wynalezienie sobie potrzebnéj praktyki. Ależ wynalezienie tego niezbędnego uzupełnienia mojego stopnia uczonego i dyplomu, okazało się niezmiernie trudnem, trudnem tak dalece, że dopiero po kilku miesiącach niepokoju, i rozlicznych zawodach i rozczarowaniach, znalazłam się pewnego ponurego zimowego wieczora z moim ani zbyt wyładowanym ani dosyć wewnętrznie bogatym tłomoczkiem w hotelu pod „Złotym Lwem", przyjmującym do swoich apartamentów nie zawsze najarystokratyczniejszych gości. Zniewolony do największéj oszczędności, a zawsze w nadziei prędkiego znalezienia odpowiedniego moim zdolnościom stanowiska; osiadłem tutaj i zacząłem się oglądać za jakiemś stalszem, własnem pomieszkaniem.

Dla czego miasto Clevedon spotkał zaszczyt policzenia Dra. Filipa Nashe pośród swoich mieszkańców, to do dnia dzisiejszego pozostaje dla mnie tajemnicą, albowiem, posiadając wszystkie warunki najlepszego pod słońcem zdrowia, najlepszego powietrza, wybornéj miejscowości, było ono prócz tego dostatecznie opatrzone w medyków. Nie znalazłszy jednak nic lepszego, przyjąłem obowiązek nadetatowego lekarza miejskiego z tem przekonaniem, że najlepiéj nawet pod względem zdrowia uwarunkowane miejsce, niezdolne jest zabezpieczyć ludność swoją od rozmaitych wypadków, podobnie jak szczepienie ospy nie zawsze zasłania dzieci od téj ciężkiej plagi, ciążącéj nieraz tak dotkliwie nad naszą społecznością.

Przyjąłem tedy tak podrzędne stanowisko, a z nim jak najnędzniejszą płacę, spodziewając się nieomylnie zjednania sobie z czasem hojnie i wspaniałomyślnie płacących moje trudy pacjentów.

Straciwszy przed kilku laty matkę, byłem sam jeden na świecie.

Mój biedny stary ojciec czynił wszystko co tylko było w jego możności, ażebym szkoły ukończył; poczem, zostawił mnie samego na dalsze zapasy z życiem, nie mającego z kim podzielać ani zaszczytnego z nich wyjścia, ani mojéj niedoli.

Pierwszym moim krokiem po objęciu tego urzędu było, ma się rozumieć, urządzenie mieszkania, bardzo szczupłego jakie sobie wynalazłem na przedmieściu, w okolicy najtańszéj. Obejrzawszy się w rok potem na ten mój postępek,uznałem go najniedorzeczniejszym w świecie, sądziłem bowiem wówczas, że mi to nada pewne znaczenie w oczach mieszkańców miasta i że napis: „Dr. Filip Nashe" umieszczony nad memi drzwiami, daleko lepiéj wydawać się będzie niż szyld każdego innego lekarza. Domek ten oznaczony N. 3 na Prospekcie Dolnym, dla tego pewnie tak nazwany, że tam właśnie żadnego nie było prospektu, zajmował wcale nie malowniczą wklęsłość, niby jakiejś doliny i wyglądał dosyć smutnie. Jednakże ilem razy wchodził do domu zawsze oczy moje z zadowoleniem wpatrywały się w ów napis, zwiastujący obywatelstwu Clevedonu, że w nim chętną pomoc lekarską każdego czasu znaleźć mogą. Wewnątrz domu była jedna izba pracowicie pełniąca obowiązki jadalni, salonu, gabinetu i pokoju, w którym przyjmowałem chorych, oprócz tego, człowiek najbardziéj przedsiębierczy nie znalazłby w tem mieszkaniu nic, coby umysł jego badawczy zająć i zaintrygować mogło.

Szczęściem, dostałem uczciwą, pracowitą i dobrą sługę, która mojéj własności strzegła jak oka w głowie, która za pomocą śnieżnéj białości firanek (tylko od frontu, luby czytelniku!), czyściuchnéj zawsze podłogi i okien tudzież niepokalanie utrzymywanéj tablicy napisowéj na drzwiach, starała się jak najwyżéj podnieść moją reputację. Brygida (moja sługa) większą niżeli ja sam przywiązywała wiarę do téj tablicy. Była przekonaną, że ona (tablica), powinna była jakiś urok wywierać na mieszkańców Clevedonu, — dobry czy zły urok, powiedzieć nie umiem ale taki, że on wszystkich chcący, niechcący w progi moje sprowadzać kiedyś musiał. Jednakże urok ten nie działał wcale i wszelkie wysiłki Brygidy, którymi ona tak skrzętnie starała się zamożność naszego domu wykazać, zostawały bezskutecznemi. Stara poczciwa dusza! Nie szemrała ona nigdy w utyskiwaniu nad sobą samą, i największym wybuchem niechęci, z jakim się przeciwko niezgłaszającym się do mnie pacjentom odzywała, były wyrazy: „Co to za głupi ludzie! Dla czegóż oni do nas nie przychodzą, a lecą wszyscy do tamtéj baby na drugim końcu miasta?"

Brygida, w dziwnem swojem uprzedzeniu, stroiła zawsze wszystkich doktorów, oprócz swojego pana, w czepiec niewieści. Ja, byłem jedynem, umiłowanem i wyjątkowem dziecięciem jéj macierzyńskiéj życzliwości.

Dodając mi otuchy, zdobywała się czasami na podobne słowa: Temi dniami zdarzył się wypadek, oto pani jakaś wypadła z powozu, mówią znowu niektórzy, że to spotkało pewnego starego jegomościa, w takim razie pan możesz się ożenić z tą młodą da_

mą, albo też ów stary jegomość umrze i zostawi panu swoje skarby. I zdaje mi się, że Brygida, powtarzając ciągle takie rzeczy, zaczęła nareszcie wierzyć w te swoje własne wróżby.

Bawiłem już rok cały w Clevedon, a pacjentów nie było i nie było widać, przynajmniéj też pacjentów lepiéj płacących; skutkiem czego położenie moje nie polepszało się bynajmniéj. Nareszcie trzydziesty pierwszy grudnia zastał mnie smutnie rozpatrującego moją przeszłość, i wglądającego bez żadnéj nadziei w przyszłość. Przekonywałem się bowiem, że mnie już nic innego nie czekało, jak tylko porzucenie mojego domku i szczupłego gospodarstwa, i poprzestanie na skromniejszem jeszcze od dotychczasowego mieszkaniu.

Pędziłem życie jednostajne, bez żadnego prawie urozmaicenia, i wspaniałe, napowietrzne zamki, jakie przybywając do miasta w wyobraźni mojéj budowałem, rozwalały się powoli u stóp moich, bez nadziei nawet znalezienia nowego materjału do ich wskrzeszenia. Nie wielu znalazłem znajomych, a jeszcze mniéj przyjaciół. Bogaci nie wiedzieli o mnie, nawet jako o urzędowym lekarzu miejskim, woleli bowiem szukać ludzi mających tytuły i godności, które jak ów szeleszczący papierowy ogon u latawca, służyły im do łatwiejszego wzbijania się pod obłoki, gdy tymczasem ja, z króciutkim tytułem. „doktora medycyny" wyżéj nad poziom podnieść się nie mogłem. Ubodzy, płacili mi łzami wdzięczności i błogosławieństw; była to wprawdzie sowita nagroda, lecz nie mogłem nią ani zaopatrzeć mojéj śpiżarni, ani przyodziać wychudłego z biedy gabinetu.

Powinienem się już był dawno oddać rozpaczy, gdyby nie pewne roztargnienie, które, jak opium lub gorący trunek oczarowało mnie jakimś błogim, chociaż niebezpiecznym spokojem.

Wspomniałem wyżéj, żem mieszkał pod N. 3, na Prospekcie Dolnym. Czwarty numer był zajęty przez jakąś szanowną wdowę, która dla zapewnienia sobie środków utrzymania, mieściła u siebie kilku drobnych lokatorów, frontowe zaś mieszkanie wynajmowała od niéj pewna młoda nauczycielka muzyki, któréj przychodzące codziennie i wychodzące uczennice były dla mnie pewnym rodzajem niewinnéj rozrywki. Oklepane wiecznie jedne i też same gammy i ćwiczenia od czasu do czasu, tylko nadto przerywane hucznemi brawurami lub ckliwie sentymentalnemi melodjami stawały się dla mnie znośniejszemi, do tyla, żem zupełnie zapomniał ile one zrazu były dla mnie nużące i monotonne.

Panna Fletcher, nauczycielka muzyki, była to milutka szczupła osóbka, bladego i delikatnego lica, na którem ciągłe nauczanie wyryło więcéj umysłowego znużenia niż rzeczywistego osłabienia fizycznego. Pierwsza między nami znajomość sąsiedzka i rozmowa zawiązała się wkrótce po mojem przybyciu, a zawiązała się z powodu małego pęczka fijołków, który pewnego wiosennego wieczora, wróciwszy z doktorskiéj wizyty w okolicy, poważyłem się jéj ofiarować. Bukiecik ten był jedyną nagrodą, jaką mi jedna z ubogich pacjentek, za moje około jéj zdrowia starania złożyła.

Przechodząc około mego okna, młoda nauczycielka, ciekawym, jakby łaknącym wzrokiem wpatrzyła się w ten stojący na nim bukiet, a kiedym go złożył w jéj ręce, błękitne jéj oczy łzami zaszły, i głos jéj drżał widocznie, gdy mi za niego dziękowała.

— O jak mile przypominają mi te kwiatki mój drogi domek rodzinny w Devonshire, gdzie gdyś cała murawa była niemi obsiana. Ah! dodała oddychając z zachwyceniem ich wonią balsamiczną, będą mi one długo o téj mojéj przeszłości mówiły. Dziękuję... dziękuje bardzo, doktorze Nashe!

— Jakto, pani znasz moje nazwisko? zapytałem.

— Wszakże je pan kazałeś wyryć wielkiemi literami na drzwiach swego domu, tak że każdy czytać je może, odpowiedziała wesoło.

— Mądry jestem, pomyślałem przygryzłszy wargi i spojrzałem badawczo na miss Fletcher, która, nie będąc nawet piękną, miała w sobie coś niezmiernie ujmującego.

— Rzeczywiście, nic łatwiejszego jak wiedzieć moje nazwisko, dodałem po chwili milczenia, podnosząc oczy na miłą sąsiadkę i czekając dalszéj jéj odpowiedzi.

Jednakże jéj milczenie zawstydziło mnie trochę, i skutkiem tego zaniechawszy rozmowy o sobie i kwiatach, które w ręku trymała, zwróciłem ją na botanikę w ogólności, udzielając jéj praktycznych rad pod względem hodowli niektórych roślin o jakich mi wspomniała.

— Czemuż pan nie zasiewasz piękniejszych nasion i nie uczynisz swego ogrodu powabniejszym?— zapytała po chwili.

— Nigdy o tem nie myślałem, miss Fletcher, chociaż ogród mój rzeczywiście potrzebuje ulepszeń. Ale pójdę za pani wskazówką. Przybywając tutaj, nie spodziewałam się, że będę miał dosyć czasu i do ogrodnictwa, w przekonaniu, że liczni moi pacjenci nie pozwolą mi na taką rozrywkę.

— O, bo wy panowie doktorzy jesteście strasznie samolubni, odpowiedziała szybko, gniewacie się i zniechęcacie, jeśli wam ludzie nie chorują.

— Pani zbyt surowo sądzisz nasz zawód,odrzekłem. Czyś pani nigdy nie była zrażoną, gdy ci uczennic brakowało? Chorzy są równie potrzebni dla doktora, jak uczennice dla pani.

— Ależ to jest tak okrutnie pragnąć, by ludzie cierpieli! dodała.

— Abyśmy ich potem leczyli? Zapytałem.

— Tak, tak, rzekła, śmiejąc się. Boję się sprzeczać z panem. Zkąd ja naprzykład mogę wiedzieć, że ten śliczny bukiet fijołków, co tak zwodniczo pachnie, nie zawiera w sobie jakiéj słodko smakującéj a silnéj trucizny, która przejmie całą moją istotę i odda mnie bezwładną na łaskę pana, dopóki mi nie zechcesz podać jakiego zbawczego przeciwko niéj lekarstwa?

Mówiąc to spojrzała na mnie przenikliwie. Blade jéj, oblicze wyjaśniło się i przybrało wyraz niczem nie zmąconego spokoju. Miss Fletcher wydała mi się w téj chwili o kilka lat młodszą, a dowcipny jéj żarcik nasunął mi jednocześnie myśl, że dalsze moje życie w Clavendon nie może być bardzo przykre obok takiéj sąsiadki. Poczem, rzekłem do niéj:

— Gdybym pani sprowadził chorobę, tobym cię także z niéj uleczył.

— O! wtedy bardzobyś pan mało ode mnie skorzystał.

— Od czasu jak tu jestem, korzyści moje były zawsze bardzo umiarkowane, odpowiedziałem.

— A więc możemy sobie śmiało podać ręce, doktorze Nashe, bo, jak mi się zdaje, muzyka nie jest wcale zyskowniejszą od medycyny. Smutną jest rzeczą pomyśleć, że człowiek całe życie pracować musi, by się jakoś na wierzch wydobyć, i że często bardzo, mimo największych usiłowań celu tego dosięgnąć nie może. Czy nie prawda?

Niezawodna prawda, odpowiedziałem poważnie, czując jak rzeczywiście nisko spadłem, a jak ona mało wyżéj stała nade mnie. Dla czego podobne myśli zajęły mój umysł, powiedziećbym nie umiał, ale tak było rzeczywiście, i powiedziawszy mojéj sąsiadce dobranoc, wróciłem do siebie i znowu rozpocząłem budowy owych zamków napowietrznych, które jak każda płocha i bez żadnéj podstawy robota, miały mnie gruzami swojemi obsypać.

Po tem pierwszem spotkaniu, wywołanem przez skromne kwiatki, nastąpił pewien rodzaj poufalszéj zażyłości pomiędzy mną a moją ościenną sąsiadką, tak dalece, że następne lato widziało nas już oboje: miss Fletcher siedzącą w swojem oknie nad jakąś robótką ręczną, mnie zaś palącego cygaro w moim ogródku, lub od czasu do czasu siadającego do fortepjanu dla jakiejś rozmaitości i własnéj rozrywki. Zdarzało się także czasami inaczéj: ona zajmowała się ogrodem, o zmroku wychodziła ze swego mieszkania z konewką w ręku i podlewała swoje spragnione wody kwiatki, które najweselszemi iskrząc się barwami zdawały się urągać biednym, wypłowiałym od skwaru słonecznego botanicznym wychowańcom doktora.

Pewnego wieczora, miss Fletcher wyszła wcześniéj ze swego mieszkania, i zbliżywszy się więcéj niż zwykle do oddzielającéj nas granicy, rzekła do mnie wesoło:

— Proszę mi powinszować, panie doktorze! Jutro przybywa mi nowa uczennica.

— Winszuję pani szczerze. Chciałbym, ażebyś i mnie nowego powinszować mogła pacjenta.

— Fe! doktorze, pan jesteś bez serca!

— Dobrze, więc nic więcéj nie powiem, jeżeli się to pani nie podoba. Ale któż jest ta nowa uczennica? Musi to być coś ważniejszego, sądząc z zadowolenia pani.

— Tak jest, i to pod wielu względami, — odpowiedziała Miss Fletcher. Przekonaną jestem, że znakomicie powiększy moje dochody, a nadto, wprowadzi mnie do wielu tutejszych zamożnych rodzin. Znasz pan przysłowie? dobrze jest mieć przyjaciela u dworu. Jest to Miss Matylda Washington z Cleve Court jedyne, strasznie kapryśne i zepsute dziecko. Dziwię się, że ona żąda moich lekcji, mając w mieście innych powszechnie wziętych nauczycieli,ale cóż mi w to wchodzić, jeżeli jéj się podobało brać lekcje śpiewu od jakiejś biednéj nikomu prawie nieznanéj nauczycielki?

— Cieszę się bardzo, że tak mądry uczyniła wybór, a cieszę się tem więcéj, bo jak pani utrzymujesz, mam nadzieję, że ona i inne jeszcze otworzy pani stosunki. Bardzoby nam się obojgu przydały nieco większe dochody, nie prawdaż? Wszakże pani nie byłaś stworzona do tak pracowitego życia!

Biedna Ruta Fletcher! lica jéj były często zachmurzone a ręce wydawały się delikatniejsze i wątlejsze, niż je natura utworzyła, to też bardzo bolało serce moje, słysząc te nieustające lekcje dzień po dzień, i wiedząc jak małą była nadzieja, jakiejkolwiek ulgi dla téj biednéj pracowniczki.

— Nie, — odpowiedziała po chwili namysłu, — posiadałam i ja dom własny w szczęściu i pomyślności, ale, jeżeli śmierć i upadek nawiedzą domowe ognisko, wtedy przepadają wszelkie nadzieje, złote promienie słońca ciemnieją czasami, by się już nigdy nie rozjaśnić, a czasami... tu spojrzała z pełnym nadziei uśmiechem w moje oblicze, — czasami ciemność ta przechodzi i pod wieczór, znowu słońce pełnym uśmiechnie się nam blaskiem...

— Oby to panią spotkało, droga Miss Fletcher! odpowiedziałem, kładąc szeroką rękę moją na obu jéj dłoniach wspartych na oddzielającem nasze posiadłości ogrodzeniu. Mimo zapadającego zmroku, dostrzegłem nagły żywy rumieniec na jéj twarzy, a serce moje gwałtownie zadrżało. Byłoż to z radości?

— Czy pan już nie masz takich nadziei? — zapytała znowu.

— Czasem odpowiedziałem. Ale najczęściej, chmury nad temi mojemi nadziejami bywają tak czarne, że jak najprędzéj odganiam je od siebie.

I umilkliśmy oboje i znowu powiedzieliśmy sobie: „Dobranoc", a ja nie pomyślałem nawet, czy kiedy do podobnéj jeszcze wrócimy rozmowy i czy za kilka godzin, nie zajdzie jaka pomiędzy nami zmiana.

Jakże my mało umiemy przewidywać naszą przyszłość! Los czy przeznaczenie, tak zręcznie niedościgłe nam plany swoje umie otaczać ciemnemi powłokami, że niepodobieństwem jest wywikłać z nich to, co dla nas może się stać początkiem najdziwniejszych dalszych wypadków.

Nazajutrz, dopełniwszy obowiązków służbowych w szpitalu, i odwiedziwszy szczupłą liczbę pacjentów w Clevedon, wróciłem do mego smutnego mieszkania i zasiadłszy w oknie, zacząłem czytać gazety wprawdzie o jeden dzień spóźnione, ale dla tego właśnie, za połowę ceny prenumerowane. Głośny turkot powozu zwrócił na siebie moją uwagę. Jakaś wizyta do Miss Fletcher, któżby to był taki?

Wkrótce ujrzałem mały elegancki faetonik, zaprzężony w parę bułanych szkockich koników i powożonéj przez młodą, według ostatniéj mody ubraną panienkę, za którą z tyłu siedzieli lokaj i mały wygalonowany groom. Młodziutka piękność, minąwszy mój dom wysiadła z powozu, lokaj poniósł za nią dużą tekę z nutami i zapukał pod numer czwarty. Była to nowa uczennica mojéj sąsiadki, ale nie taka, jaką sobie wyobrażałem nawet jako córkę bogatych państwa z Cleve Court.

Patrzałem na to zjawisko (bo prawdziwem zjawiskiem wydało mi się to jasne promieniące i śliczne stworzenie), patrzałem nieśmiało, a jednak z zachwytem. Niby jaki cudowny obraz stanęła ona przed memi oczyma w ramach prawdziwych drzwi wchodowych, z jaśniejącym w słońcu złotym włosem, wdzięcznie podnoszącym jéj cudnéj białości cerę, z oczyma błękitu włoskiego nieba i głosem, którego dźwięki najpiękniejszą były dla mnie muzyką. Drzwi się otworzyły i zamknęły napowrót, powóz potoczył się daléj, a ja stałem jeszcze zachwycony, wpatrując się w miejsce, które dopiero co opuściła.

To niespodziewane zjawienie się dziewczęcia padło na mnie jakby urok jaki błogich, złotych marzeń. Oczarowany cudną pięknością nie pomyślałem, jak ona niedostępną była, jak zawsze niedostępną być miała dla mnie. Nieuderzające pięknością lecz miłe rysy Ruty Fletcher, na które niedawno z pewnem współczuciem i serdecznością spoglądać zaczynałem, zatarły się odrazu w mojéj pamięci a na ich miejsce wystąpiła przede mną cudna, olśniewająca, wabna piękność Matyldy Washington.

ROZDZIAŁ II.

Niezaprzeczoną, lecz smutną jest prawdą, że to jedyne, pierwsze spotkanie téj młodziuchnéj uroczéj piękności, zupełnie zmysłów mnie pozbawiło i obok rozbudzenia najognistszych uczuć, wywołało, we mnie jak ów „piołun starożytnych", dziwną jakąś niepamięć na moje położenie. Już gorące lato przeszło w ponurą jesień, i jesień z kolei sprowadziła lodowatą zimę za sobą, a rozszalałe serce moje, wbrew wszelkim napomnieniom i ostrzeżeniom zimnego rozumu, pieściło się i zachwycało obrazem pięknéj i bogatéj dziewicy z Cleve Court. Szczególny to był upór i nieporządek, zwłaszcza w człowieku, który przebywszy już cały rok w Clevedon, przymuszony był jeszcze ze smutkiem i trwogą oglądać się na niepewną przyszłość swoją. Nigdy jeszcze ani jednego słowa nie mówiłem z piękną czarodziejką moich myśli, ale też nigdy, przynajmniéj dobrowolnie nie opuściłem sposobności widzenia jéj z mego okna, kiedy dwa razy tygodniowo przybywała do mojéj sąsiadki na lekcje muzyki. Cierpliwie, a jednak z uwielbieniem, tak dalece byłem oszołomiony, przysłuchiwałem się pierwszym elementarnym ćwiczeniom, aby tylko następnie zostać wynagrodzony jakim pięknym śpiewem, wykonanym jéj dźwięcznym, słowiczym głosem. I to wystarczało mi zupełnie, innego szczęścia nie znałem nie pragnąłem.

Miss Fletcher odpowiadała zawsze na niezliczone moje pytania o jéj uczennicę z pewnem zdziwieniem, ale nigdy pierwsza nie zwracała rozmowy na jedyny przedmiot moich myśli. Bo i po cóż miała to czynić? Któż to ja byłem taki coby śmiał szukać znajomości z dziedzicami Cleve Court, chociaż mówiono powszechnie, że posiadłość ta była niedawno przez nich nabytą i że pan Washington swojéj książęcéj fortuny dorobił się za kantorem handlowym. Mnie to nic a nic nie obchodziło. Wiedziałem tylko, że Matylda była godną miłości, i że ja kochałem ją jak bóstwo, przed którem w bałwochwalczéj czci mojéj byłem gotowy wszędzie i na każdem miejscu upaść na kolana!

Takie było moje, wcale niewesołe położenie, kiedy pewnego dnia miesiąca stycznia, po ulewnym deszczu, dosyć silny mróz nawiedził nasze miasto. Ulice były pokryte lodem, który najostrożniejszym nawet pieszym wędrowcom utrudniał niezmiernie utrzymanie równowagi. Otóż znalazłem się i ja wtedy na ulicy, stawiając kroki z nadzwyczajną ostrożnością, by przypadkiem długości ciała mojego nie przemierzyć na bruku, — gdy niespodzianie tuż przed sobą ujrzałem młodą jakąś damę, która z całą swobodą, jak gdyby się żadnego nie obawiała wypadku, przede mną postępowała. Czyjeż to mogły być te prześliczne złotem połyskujące włosy, jeżeli nie Matyldy Waschington? Stanąłem jak wryty, wstrzymawszy oddech w piersiach z obawy, by tak lekko i nieostrożnie ślizgająca się przede mną postać, nie potknęła się w moich oczach, — gdy w jednéj chwili zanim zdołałem poskoczyć, aby podtrzymać chwiejącą się już na nogach, upadła na kamienie i z lekkim okrzykiem zdziwienia raczéj niż bólu legła na chodniku.

W jednem mgnieniu oka znalazłem się przy jéj boku i z ojcowską troskliwością podniosłem ją drżącemi rękami. Błękitne oczy dziewczęcia utonęły dziękczynnie w mojem spojrzeniu i dźwięcznemi, czarującemi słowy zaczęła mi dziękować za udzieloną jéj pomoc. Ale, gdym ją lekko stawiał na ziemi, zbladła i zwracając się do mnie z wyrazem dotkliwéj boleści zawołała:

— Ja się ruszyć nie mogę; noga boli mnie okropnie.

Schyliłem się i obejrzałem tę maleńką nóżkę, gdy tymczasem ona, oparta jedną ręką na mojem ramieniu starała się utrzymać w równowadze. Przekonałem się, że noga była zwichnięta w kostce, że zatem ani jednego kroku daléj postąpić nie była w możności. Skutkiem tego, poprosiłem ją, ażeby mi pozwoliła zanieść się do najbliższego sklepu. Nie wiedząc co począć, zgodziła się na to z pewnem wahaniem, uszczęśliwiony, wniosłem mój słodki i piękny ciężar do pierwszego kupca, którego otwarty sklep najbliżéj spotkałem.

— Jakże ja się teraz do domu dostanę? — zapytała mnie po chwili wypoczynku.

— Przywołam dorożkę i odwiozę panią do rodziców jeżeli pani, miss Waschington, zezwolić na to raczysz?

— Jakto? pan wiesz kto jestem? — zapytała zdziwiona.

— Widziałem panią, odwiedzającą moją sąsiadkę miss Fletcher, ona to oznajmiła mi nazwisko pani — odpowiedziałem zmięszany nieco.

— Ah! więc pan jesteś doktor Nashe? — zapytała wesoło.

— Tak, pani — odpowiedziałem nieśmiało wychodząc spiesznie z obawy dalszych zapytań, zwłaszcza że swoje błękitne oczy badawczo i w sposób bardzo wyzywający w mojem utkwiła spojrzeniu.

Powróciłem jednak wkrótce potem i wsadziwszy Matyldę do powozu, ruszyłem z nią do Cleve Court. W pół godziny wjechaliśmy szeroką bramą w dziedziniec i przebywszy cienistą aleję wiązową, stanęliśmy przed głównem wejściem. Tu wysadziłem chorą i widząc ją pod opieką matki, chciałem się przez samą delikatność usunąć, lecz miss Waschington ani słyszeć o tem nie chciała i złożywszy ręce rzekła:

— Doktorze Nashe, pan nie pójdziesz!

A gdy jéj matka wspomniała coś o przywołaniu domowego lekarza, dodała stanowczo:

— Ja żądam tylko doktora Nashe albo żadnego innego; on mi pierwszą przyniósł pomoc i on tylko jeden leczyć mnie powinien. Nasz stary doktór Macgregor nie zna się na niczem!

— Bardzo dobrze, moja droga — odpowiedziała pani Waschington wysłuchawszy powyższe samowolne córki postanowienie. Zostałem więc i zarządziwszy potrzebne przygotowania, nastawiłem wybitą nogę, zalecając choréj najzupełniejszą spokojność. Następnie zaproszono mnie na śniadanie. Nie opierałem się tak miłemu wezwaniu i skutkiem tego daleko później niż zwykle, ułatwiłem się z moimi wiejskimi pacjentami.

Wracając do domu, nie wierzyłem samemu sobie. Zdawało mi się, że to sen był tylko. Widziałem więc i mówiłem z tą, która przez tyle miesięcy była przedmiotem mego skrytego uwielbienia, i miałem ją jeszcze widzieć i jeszcze mówić z nią tyle razy. I nie był że to słuszny, usprawiedliwiony powód do radości i szczęścia mojego, przynajmniéj na pewien przeciąg czasu? Potem, kto wie! mogłem jeszcze zostać zaufanym domowym lekarzem rodziny — a wtedy—wtedy—o Brygido! Zląkłem się twoich tak pomyślnych dla mnie przepowiedni, chociaż w rozszalałéj wyobraźni mojéj sięgałem już szczytu szczęśliwości ziemskiéj.

Wracając atoli po takiem romantycznem upojeniu do rzeczywistości, w każdym razie widziałem już przed sobą ładną sumkę pieniędzy, jaką ten wypadek sprowadzić był powinien, a potrzebowałem jéj bardzo, chociaż sumiennie mówiąc, dotąd dosyć obojętnie w przyszłość moją się wpatrywałem. Zapomniałem jednak wkrótce o wszystkiem, i upojony szczęściem częstszego widywania Matyldy, przepędziłem całą noc aż do następnego poranku, w najrozkoszniejszych marzeniach.

Nigdy jeszcze moje zwykłe wizyty w szpitalu nie zdawały mi się tak uciążliwemi, i moi pacjenci tak nieznośnymi jak teraz, ale za to, w niecierpliwości mojéj uważałem, że odleglejsze części miasta potrzebowały więcéj niż zwykle moich troskliwych starań. Było to zapewne przywidzeniem tylko, lecz w końcu zawszem się jakoś znalazł w domu rodziców Matyldy, i czułem się być sowicie wynagrodzonym, kiedym widział jéj śliczne oblicze wdzięcznie ku mnie zwrócone, lub kiedy trzymając w chwilach lekarskiego badania jéj drobną rączkę, dostrzegałem lekki przelotny rumieniec na jéj licach.

Dzień za dniem mijał, a zawsze jedno i toż samo pół-lękliwe, pół-zalotne postępowanie ze mną Ma-

tyldy, to mi pochlebiało, to znowu dziwnym jakimś niepokojem przejmowało. Pani Washington była zwykle obecną moim wizytom; czasami jednak zostawiała nas oboje tylko, a wtedy Matylda starała się być dla mnie więcéj uprzejmą i przymilającą.

Chora nóżka jakoś uporczywie nie chciała wyzdrowieć; uroiłem sobie więc że moja młoda pacjentka, może równie jak ja sam nie bardzo sobie życzyła zbyt spiesznego jéj wyleczenia.

Wszystko atoli musi mieć swój koniec. Gdy się nareszcie podźwignąć i wsparta na mojem ręku przechodzić już mogła po swoim buduarze, wtedy siadała czasami do fortepianu, by zaśpiewać niektóre z najmilszych mi pieśni. Z rozkoszą słuchałem jéj dźwięcznego głosu. Niemniejszéj przyjemności doznawałem także, kiedy marząc z przymkniętemi oczyma i gładkim uśmiechem na ustach, wsłuchiwała się w piękniejsze ustępy, jakie na jéj żądanie z najulubieńszych moich autorów jéj czytałem. Taki stosunek uczynił mnie bardzo częstym gościem w Cleve Court, lecz mimo to, tajemnicę moją tak zręcznie ukrywałem, że jak mi się zdawało Matylda nie mogła się nawet domyślić mojego szaleństwa.

Pewnego razu zatrzymany byłem w mieście dłużéj niż zwykle. Jakaż była moja radość, kiedym zbliżając się do domu państwa Washington ujrzał Matyldę stojącą w oknie salonu, jakby wyglądającą mojego przybycia. Radość ta i zdziwienie były jeszcze większe, gdy wybiegła na moje spotkanie, mówiąc wesoło:

— Nie jestem już doktorze kaleką, i dzisiaj mogę jak najlepiéj chodzić.

— Rzeczywiście, widzę to i szczerze pani winszuję,— odpowiedziałem niby radośnie, chociaż serce mi się ścisnęło na myśl, że dalsze moje wizyty mogą być wkrótce przerwane.

— Teraz, rzekła znowu — podaj mi pan rękę, zejdziemy aż do oranżerji. Mama wyszła, a potrzeba nam nieco kwiatów do dzisiejszego obiadu.

Przeszliśmy kilka długich korytarzy, ciepłych i wesołych jakby wśród lata, a ja obok otaczającego mnie zbytku i przepychu, zapomniałem, że moja towarzyszka należała do liczby właścicieli tego wszystkiego, że byłem człowiekiem zupełnie obcym, zaledwie mogącym się odważyć na chwilowe, nieznaczne uściśnienie jéj łaskawie podanéj mi drobnéj rączki.

Wybrawszy co najpiękniejsze i najbogatsze skarby cieplarni, gdyśmy już powracać mieli, Matylda szepnęła do mnie po cichu, przytrzymując mnie jeszcze za rękę.

— Doktorze, czy mi pan nie ofiarujesz jakiego kwiatka na dzisiejszy wieczór.

Zadrżałem. Wyrazy, głos, spojrzenie jakie im towarzyszyło, wszystko to było niewypowiedzianie słodkiem i czułem i spojrzawszy jéj w oczy, jakiem jeszcze nigdy spojrzeć nie śmiał, zerwałem przepyszną kamelję karmazynową i podając jéj takową rzekłem:

— Czy miss Washington przywiązuje jaką wartość do kwiatu przeze mnie zerwanego?

— Nie żądałabym tego, gdyby inaczéj było, odpowiedziała niby z lekkim wyrzutem.

— I pani uczynisz mi zaszczyt, że ją dzisiaj nosić będziesz? zapytałem, dotykając się jednocześnie wspaniałego kwiatu i jéj białych jak alabaster paluszków. Nie wiem, kto z nich wyjdzie zwycięzko, czy kwiat, czy ta rączka, która go nosić będzie.

Stanęła w miejscu i spuściła oczy bawiąc się niewinnie ofiarowaną jéj kamelją.

— Może pani niezadowolona z mojego wyboru, odezwałem się po chwili.

Nic mi nie odpowiedziała. Szalony głupiec ze mnie. Ośmielony jéj milczeniem, zerwałem wonny heljotrop peruwjański stojący tuż pod moją ręką i składając go w jéj ręce, dodałem głosem drżącym ze wzruszenia jakie zmysły moje owładnęło:

— Czy pani go umieścisz obok téj kamelii... pani wiesz jego znaczenie?

Odwróciła się zmięszana, lecz dostrzegłem lekki uśmiech na jéj ustach. Wtedy otoczywszy ją ramieniem, szeptałem prawie nieprzytomny: Matyldo Matyldo! i pochyliwszy się ku niéj, dotknąłem drżącemi ustami jéj pałające lice. Ale w téjże samej chwili rozległ się przerażający oburzeniem głos pani Washington, stojącéj we drzwiach oranżerji, wymawiający słowa „Matylda i doktór Nashe?!"

Zanim zdołałem przyjść do siebie z pierwszego przerażenia, Matylda wybiegła już na górę i pozostałem sam jeden, zalany ciężkiem potokiem groźnych wyrazów, miotanych przez słusznie rozgniewaną na mnie matkę dziewicy. Słów powtórzyć tu nie mogę, powiem tylko, że pani oskarżała o rozmyślne podejście uczuć jéj córki, że zuchwalstwo dotknięcia memi niegodnemi ustami jéj twarzy, było obelgą nie do przebaczenia.

— Waćpan zapomniałeś kim jesteś i kim jest moja córka? Odtąd uwalniamy go od dalszych dla naszego domu usług, dodała w końcu z oburzeniem.

Zawstydzony, usiłowałem przytoczyć coś na moją obronę, lecz mimo przekonania, że nie miałem wcale zamiaru jakiemiś niegodnemi środkami zjednać sobie przychylne uczucia córki, czułem dostatecznie, jak sprawiedliwemi były wyrzuty jéj matki, która też niczem uspokoić się nie dała. Nie wierzyła żadnym moim zapewnieniom, i opuściłem Cleve Court w stanie niesłychanego rozstroju umysłowego i pomięszania.

Gorzko wyznając sobie moje szalone zapomnienie się, aby w chwilowem uniesieniu zdradzić tajemnicę, tak troskliwie przez tyle czasu ukrywaną, ciężko bolałem nad sprowadzonem na siebie z własnéj winy nieszczęściem, którego pierwszem następstwem było oddalenie mnie na zawsze od boku Matyldy. A prócz tego jeszcze, w cóż się obrócić miała nadzieja świetniejszego powodzenia w moim zawodzie za pośrednictwem bliższych stosunków z rodziną tak znakomitego imienia? Wszystko, wszystko przepadło odrazu.

Jakim się to stało sposobem? To Bogu tylko wiadomo! Coś jednak zdawało mi się skrycie szeptać, że to nie wszystko moją było wyłącznie winą. Czyliż tam nie było pewnych ukradkowych spojrzeń, pewnych nader uprzejmych chęci zadowolenia, niektórych moich życzeń, pewnych przelotnych rumieńców kiedym się zbliżał? Wszystko to było. A nawet tegoż samego dnia jéj dźwięczne słówka upajały mnie, jéj oczy, te cudne błękitne oczy mówiły mi rzeczy, które jeżeliby były prawdą, uczyniłaby mnie najszczęśliwszym z ludzi. Jeżeli mnie nie kochała, jakiż mógł być cel takiego postępowania.

Trapiące myśli, zwątpienie, niepewność do szaleństwa mnie przywodziły, i jakkolwiek dumna pani Washington zabroniła mi dalszych wizyt w domu swoim, postanowiłem raz jeszcze zobaczyć Matyldę, i od niéj samej, od niéj najdroższéj dowiedzieć się, czy moje przypuszczenia były prawdziwemi, jeśli nie, bardzo dobrze! W takim razie nie mogłem uchodzić w jéj oczach za gorszego niż byłem poprzednio; jeżeli zaś przeciwnie, niestety! jakaż mogła być nadzieja, że ona kiedyś moją zostanie? Żadna. Postanowiłem przecież nie zważać na otrzymany zakaz, oddając przyszłości roztrzygnienie mojego losu.

Dziwne uczucia dręczyły moje serce, kiedym nazajutrz zwrócił moje kroki ku Cleve Court. Nocne bowiem pasowanie się z myślami nie zmieniło w niczem moich zamiarów.

Miły to był poranek, ciepły i wonny, a ptaszki śpiewały tak wesoło, jak gdyby wiosna była już za pasem. Wychodząc z domu, nie ułożyłem sobie żadnego planu postępowania, wyszedłem bowiem z nadzieją, że jakikolwiek szczęśliwy przypadek postawi mnie w obec mojéj najpiękniejszéj między pięknemi Matyldy. Bliski już celu mojéj podróży, wybrałem jedną z najmniéj uczęszczanych ścieżek parku, aby się nie spotkać z którymkolwiek z rozjątrzonych na mnie członków rodziny. Idąc zamyślony tą, nie wiem fortunnie czy nie fortunnie wybraną drogą, niespodzianie usłyszałem blisko siebie jakieś znajome mi głosy. Nadstawiwszy ucha, rozeznałem w nich głos mojéj sąsiadki miss Fletcher i głos samej Matyldy. Winienem tu objaśnić: że pierwsza z nich, w ciągu choroby swéj uczennicy była bardzo częstym gościem Cleve Court i zdawało się, że ta skromna uboga nauczycielka muzyki, zjednała sobie prawdziwą przyjaciołkę w młodéj dziedziczce, która widocznie tęskniła za jéj towarzystwem.

Nie wiedziałem co począć w téj chwili; zatrzymałem się i jednocześnie usłyszałem moje nazwisko wymówione dziwnym jakimś głosem, który mnie mocno zadziwił.

— Wierzaj mi Ruto, nie możesz mi tego mieć za złe, ani mnie łajać. Powiadam ci, że to był tylko doskonały sobie żarcik.

— Żarcik może dla ciebie, ale wcale nie dla niego.

— On się prędko wyleczy z tego moja droga, mężczyzni nie umierają dzisiaj z miłości! Znam ja już takich co mnie kochali, a chciałam się jeszcze przekonać, czy on się też tak dalece zapomni, że będzie żądał wzajemności ode mnie, ode mnie dziedziczki Cleve Court!

— Ah! Matyldo! Matyldo! jakże ty możesz swawolić z uczucami zacnego, biednego człowieka?

— Bardzoś dobrze powiedziała, *biednego człowieka*, odpowiedziała zimno. Potrzebowałam jakiejś zabawki. Mój pokój taki smutny a w braku innych wielbicieli, on mi się sam nawinął. Wprawdzie nie myślałam z początku doprowadzić go tak daleko, ale późniéj, nie umiałam się już oprzeć swawolnéj chętce rozerwania się. Nie domyślam się wcale, coby on mi był więcéj powiedział, gdyby moja mama nie była zjawiła w téj niefortunnéj chwili. Nie uwierzysz, jakem się w duchu śmiała, kiedy się odważył mnie pocałować. Jedna jeszcze chwila, a byłabym się sama o takie zuchwalstwo obraziła, ale przybycie mamy w samą porę i moja ucieczka wyzwoliły mnie z kłopotu. Mama bardzo się gniewała; lecz zastawszy mnie późniéj najspokojniéj czytającą, po zapewnieniu mojem, że sama w niczem się do téj sceny nie przyczyniłam, zapomniała o wszystkiem. Gdyby on się znajdował przynajmniéj w odpowiedniem moim stanowisku, mniejsza o to, bo jest przystojny i człowiek dosyć do lu dzi wyższéj sfery podobny. Ależ, Boże mój! on tak biedny, strasznie biedny!

— Człowiek uczciwy, człowiek pracy miss Washington, którego szlachetne serce wcale na to nie zasługuje, by jakabądź kobieta dla własnéj rozrywki swawolnie igrać z niem miała prawo. Zawsze wart był innego obejścia się z twojéj strony.

— Być może, więc staraj się go pocieszyć, ty co tyle czujesz w sobie litości. Wiesz że litość, jest miłości początkiem!—dodała śmiejąc się głośno

— Nie ma pociechy dla duszy tak ciężko zranionéj — odpowiedziała Ruta.

— W każdym razie wymówki twoje pozostaną bezużyteczne — rzekła po chwili Matylda. Urodziłam się płochą i natury swojéj przerobić nie zdołam. On nie powinien być takim naiwnym i zakochać się we mnie, bo nie mógł sobie roić, ażebym została jego żoną.

— Powiedz raczéj Matyldo, że ty nie powinnaś była starać się zwrócić na siebie jego uwagę, jak sama wyznajesz, żeś istotnie miała taki zamiar. Wiesz, że jesteś bardzo piękna a piękność jest dla niektórych mężczyzn wszechwładną, jeżeli zaś do téj piękności dodamy jeszcze środki ujmujące i jawną chęć przypodobania się, czyli możesz się dziwić, że doktór Nashe uległ twemu wpływowi i zapomniał o wszystkiem pod urokiem uczucia, jakiem go natchnęłaś?

— Nie wypadało mu o sobie samym zapomnieć, odparła niechętnie Matylda. Słuchaj, dzwonią na śniadanie; wracajmy do domu.

— Dziękuję ci, — odpowiedziała Ruta, — muszę wracać do miasta, bo mnie tam jeszcze lekcje czekają.

W miarę, jak się obie oddalały, głosy ich stawały się coraz cichsze: Ja pozostałem jak przybity do miejsca, w którem mimowolnie, i z taką boleścią dla mnie podsłuchałem ich rozmowę. Więc to było moje marzenie? To była owa Matylda Washington, któréj dusza wydawała mi się równie piękną jak jéj ciało?

O! jakiż to smutny dodatek do zwalisk moich cudnych napowietrznych zamków! Jaka odrażająca ruina z mojego bożyszcza! Straszne rozczarowanie! Wiedzieć, słyszeć z jéj własnych ust, że ona z całą świadomością nęciła mnie do siebie jedynie dla skarcenia potem mojéj zuchwałości, gdybym był wyraźniéj lub śmieléj zdradził moje uczucia!

Było to bolesne ukąszenie jadowitéj żmii, które niwecząc najpiękniejsze marzenia moje, wystudziło zarazem i miłość moją: choroba była ciężką, ale w samym jéj zarodku mieściła się już nadzieja wyleczenia.

Opuściłem nareszcie to fatalne miejsce, nie wiedząc kogo więcéj obwiniać, czy własne moje szaleństwo, czy to nadobne stworzenie: nie mogłem jéj już nazywać kobietą, która mnie zdradziecko przywiodła do tego upokorzenia, upokorzenia najboleśniejszego dla serca umiejącego czuć upadek ubóstwianéj istoty, upadek z którego ona się już nigdy podźwignąć nie zdoła.

Śród ciemnéj chmury, jaka umysł mój zaległa, zaczęło się powoli przebijać jakby mściwy odwet, słodkie, miłe wspomnienie Ruty Fletcher. Dziękowałem jéj w mojem sercu, myśląc z coraz czulszem rozrzewnieniem o mojem względem niéj położeniu. Jak to często jedno doświadczenie zmienia odrazu barwę wszystkich naszych myśli. Nie powinnoby tak być, a przecież tak jest i sami przy najgorętszych nawet chęciach zaradzić temu nie mamy siły.

ROZDZIAŁ III.

Nie powiem już jak mi przeszły pierwsze tygodnie po owym wypadku—w każdym razie były one straszne dla mnie. Boleść w skutek zawiedzionych uczuć, niepokój wewnętrzny, a nawet materjalny niedostatek, wszystko to nękało mnie okropnie. Dodać bowiem wypada, że owa niecna igraszka, jaką tak okrutnie miłość moją zraniono, przyczyniła się również do pogorszenia mego stanowiska.

W kilka dni po owem zajściu w Cleve-Court, otrzymałem od pani Washington przesyłkę z kwotą dwudziestu funtów szterlingów. Pierwszą moją myślą było zwrócić takową bezzwłocznie. Duma moja oburzała się na myśl przyjęcia jakiegokolwiek wynagrodzenia od téj, która zapominając o swojéj godności niewieściéj, zniżyła się aż do użycia takich obrażających wyrazów, jakie tego nieszczęsnego dnia z ust pani Washington słyszałem. Otóż miałem przez chwilę zamiar odesłania napowrót tych pieniędzy, z dodaniem jeszcze na piśmie kilku wyrazów szlachetnego oburzenia. Czyliż ona mniemała, że brzęk złota zdoła osłodzić cios zadany memu honorowi?

Pomyślawszy atoli, że pieniądze te nie były prawie moją własnością by z niemi postąpić według powziętego zamiaru, albowiem, jakkolwiek szczupłe były moje potrzeby, miałem przecież więcéj jeszcze długów niżby one pokryć zdołały, stłumiłem pierwszy popęd urażonego serca, obliczyłem ściśle przypadającą mi należytość, przewyżkę dołączyłem do ułożonego przeze mnie rachunku i wszystko to bez żadnego z mojéj strony dopisku, zwróciłem matce Matyldy.

Nieszczęście moje nie na tem się jeszcze skończyło. Rozdrażniona niewiasta potępiając mój postępek, niezaniedbała pomiędzy swemi znajomemi wystawić go w jak najgorszem, krzywdzącem mnie świetle. Jakoż przekonałem się wkrótce, że straciwszy zaufanie bogatych właścicieli Cleve Court i inni, chociaż nieliczni moi klienci miejscy, coraz zimniéj na mnie spoglądali, skutkiem czego praktyka moja jeszcze się bardziéj zmniejszyła.

Od czasu rozmowy między miss Washington i miss Fletcher, mimowolnie przeze mnie w parku podsłuchanéj, nie widziałem jeszcze prawie téj ostatniéj. Nic w tem nie było dziwnego: widok osoby świadoméj mego szaleństwa i poniesionéj w skutku tego porażki, rozstrajał moje nerwy i nader przykre czynił na mnie wrażenie; zresztą i ona sama zdawała się równie jak ja unikać wznowienia dawnéj między nami zażyłości. Tym sposobem, rzadkie spotkania nasze kończyły się zwykłym ukłonem lub obojętnym przywitaniem. Mimo to jednak uważałem, że wyraz jéj twarzy był pochmurniejszy, lica bledsze niż dawniéj. Przypuszczałem że i ona mogła stracić pewną liczbę uczennic, a przypuszczałem to tem zasadniéj, że przy własnem zniechęceniu przestałem zupełnie zważać na wchodzące lub wychodzące z jéj mieszkania uczennice. Jednakże przy swojem strapieniu, litowałem się szczerze nad tą młodą kobietą, któréj ciężka codzienna praca przechodziła jéj wątłe siły...

Jak życie nasze było podobnem!—Sami na świecie, ubodzy, bez przyjaciół, oboje skazani na tak niewdzięczną pracę!

Pewnego rana, kiedym samotnie siedział przy śniadaniu, Brygida weszła do mego pokoju z oświadczeniem, że pani Lightfoot, wdowa pod N. 4 zamieszkała, pragnie widzieć się ze mną.

— Zdaje się mieć jakiś ważny interes do pana — dodała moja sędziwa gospodyni.

— Poproście ją do mnie — odpowiedziałem — i wdowa weszła natychmiast.

— Witam szanowną sąsiadkę, cóż mi pani dzisiaj rozkaże? Może pani sobie paluszek skaleczyła i żądasz mojéj pomocy? Chętnie pani służę.

— Nie, panie, wcale tu nie o mnie idzie, lecz o tę biedną, kochaną miss Fletcher. Lękam się o nią, ona jest bardzo chora, a zupełnie nie dba o siebie.

— Na Boga, cóż jéj jest? — Zapytałem do żywego dotknięty tą nader przykrą dla mnie wiadomością.

— Dokładnie nie umiem panu powiedzieć, lecz proszę bardzo, ażebyś raczył sam przyjść do nas i zobaczyć. Ale — dodała nieśmiało, — niechaj ona nie wie, że ja się poważyłam wezwać pomocy pańskiéj.

— Na cóż się głównie uskarża?—pytałem znowu.

— Ona się na nic nie uskarża, odpowiedziała pani Lightfost. To stworzenie, które przy śmierci nawet jednego słówka by nie powiedziało, o siebie nie dba zupełnie, a pracuje i pracować będzie, dopóki jéj ostatnie siły wystarczą. Nie mówię już o tem, jak ona jest lekko ubraną, kiedy wychodzi na swoje lekcje. Ale, wyobraź pan sobie, że od czasu, jak ją opuściła jéj uczennica miss Parkes, podjęła się nowéj lekcji wieczornéj języka francuzkiego, czy tam innego jakiegoś paplania i że odtąd przesiaduje ustawicznie do godziny dwunastéj i pierwszéj w nocy nad pisaniem.

— Musiała się zaziębić, kochana pani. A może też to inna jaka słabość?

— Niezawodnie się zaziębiła. Kaszle, kładzie się co chwila na łóżko, oddychać nie może, tem mniéj mówić, a w piersiach jéj to już Bóg wie co się tam dzieje.

— Idę natychmiast, zawołałem zerwawszy się z krzesła i pobiegłem do mojéj apteczki, by wybrać najodpowiedniejsze do obecnego przypadku lekarstwa.

W chwilę potem, byłem już u miss Fletcher i lubo wizyta moja szczególnem jakimś w jéj oczach odbiła się zdziwieniem, odpowiedziała spokojnie na wszelkie moje pytania i z całą uległością poddała się danym jéj przeze mnie przepisom lekarskim. Zbadawszy jak najtroskliwiéj stan choroby, przekonałem się, że miała silne zapalenie płuc, wywołane przez dawno zaniedbane zaziębienie. Nie chcąc jéj trwożyć, nic nie powiedziałem o rzeczywistym jéj stanie sam przecież czułem i widziałem doskonale, grożące jéj życiu niebezpieczeństwo.

W chorobie swéj była uległą i tkliwie wdzięczną, ja zaś nie przypominam sobie choréj, którąbym z większem zajęciem i starannością pielęgnował. W ciągu tego czasu zupełnie zapomniałem, że ona dokładnie wiedziała o wszystkiem, co mnie z Miss Washington spotkało, a gdy następnie po rozmaitych przejściach słabości wyszła z niebezpieczeństwa, wróciliśmy znowu nieznacznie do dawnych przyjaznych i zaufanych stosunków sąsiedzkich.

— Ah! doktorze, powtórzała ona często, czemże ja się panu odpłacę za tyle przychylności, za tyle dobroci dla mnie? Ja, co byłam taką nudną, taką nieznośną pacjentką.

— Niechaj pani wcale o tem nie myśli, odpowiadałem, by uspokoić jéj drażliwą delikatność.

— Podczas téj słabości wiele zyskałem, bo zbogaciłem moją wiedzę, badając starannie stan pani. Proszę więc nie zajmować się wcale podobnemi myślami.

Późniéj przekonałem się, że i ona wiele ucierpiała z powodu Matyldy Washington w skutek rozmaitych plotek rozsianych na jéj niekorzyść. Bolało mnie to niezmiernie, że złe przeze mnie samego wywołane i ją najniewinniejszą dotykało. Że ja cierpiałem, to rzecz była słuszna, ale dla czegoż ona jeszcze miała być ofiarą mego szaleństwa!

Po polepszeniu się zdrowia Ruty czułem większe jeszcze niż kiedykolwiek oburzenie i niechęć dla sprawczyni wszystkich moich niepokojów, dziwiące się zarazem, jakim sposobem dałem się tak dalece uwieść saméj tylko fizycznéj piękności dziewczęcia

kiedy przy moim boku miałem tyle słodyczy serca, tyle najpiękniejszych przymiotów wykształconego i szlachetnego umysłu. Zważywszy to wszystko, czułem dziwny jakiś niepokój, widząc, że moja życzliwość i współczucie dla młodéj sąsiadki, coraz bardziéj wzrastały, gdy tymczasem ona, świadoma mojch poprzednich urojeń, tylko z obojętnością spoglądać na mnie była powinna. Dręczony tą myślą, postanowiłem skoro tylko wizyty moje staną się mniéj potrzebnemi, usunąć się od towarzystwa miss Fletcher, które przecież było dla mnie niewypowiedzianie miłem. Czułem dobrze, jak ogromna była różnica pomiędzy nią i Matyldą, a jednak mimo całéj wyższości zdawało mi się, że ona zawsze tylko z pewnem współczuciem na mnie patrzyła...

Nareszcie, sąsiadka moja wzmocniła się o tyle, że mogła bez żadnéj obawy, korzystać w otwartem okienku z orzeźwiającego powietrza wcześniejszego nieco lata. Tym sposobem wizyty moje u niéj przybrały zamiast wizyt codziennych, charakter okolicznościowy czyli przypadkowy, zamiast urzędowego przyjacielski. Zawsze przecież była jeszcze słabą, a pozostały kaszel, niepokoił ją widocznie.

Pewnego wieczora, przyszedłszy do niéj niespodzianie znalazłem ją zapłakaną, nad otwartym listem, leżącym na jéj kolanach. Zarumieniła się lekko, gdym uścisnął podaną mi rękę i odezwała się do mnie boleśnie:

— Mojaż w tem wina, doktorze? czytaj pan dając mi pismo dodała. Jeszcze jedna opuszcza mnie uczennica!

Było to dosyć grzeczne zawiadomienie matki, że z powodu słabości miss Fletcher jéj uczennica przymuszoną jest innego poszukać sobie nauczyciela.

— Smutną to jest rzeczą kochana pani, — rzekłem, że ludzie tak cię okrutnie karzą za rzeczy od ciebie niezależne. Ale nie zrażaj się pani bynajmniéj. Wyzdrowiejesz wkrótce, i jeśli będzie potrzeba znowu poddostatkiem znajdziesz lekcji. Przybędą nowe uczennice i to może w liczbie, któréj nawet podołać nie zdołasz.

— Ale dopóki to nie nastąpi, cóż ja pocznę, doktorze? O! stokroć byłoby lepiéj, gdybyś mi pan był umrzeć pozwolił, — dodała głosem rozpaczliwym.

I rzęsiste łzy, jak perły potoczyły się po jéj bladych licach, wyrażających boleść i zwątpienie o przyszłości. Ciężki smutek biednéj Ruty i mnie ogarnął; serdecznem wiedziony współczuciem, zbliżyłem się do niéj i braterskim otoczywszy ją ramieniem, przytuliłem jéj głowę do mych piersi, bo gdzież ta biedna głowa spokojniejszy mogła znaleść przytułek?

W tej krótkiéj chwili tak tkliwego zbliżenia, cały rój myśli przebiegł moją głowę. Miałem jéj powiedzieć że ją kochałem, że ją głęboko, szczerze kochałem? Gdybym to uczynił, nie dałaby wiary moim słowom, ona co kilka miesięcy temu była świadkiem mojéj miłości dla innéj kobiety. Zresztą, cóż jéj mogłem ofiarować? Czem się z nią podzielić? Memi długami, memi zawodami, moją obawą o przyszłość? Z drugiéj atoli strony, czyliż nie mogłem przynieść ulgi jéj strapieniom, czyliż na wzajemnéj oparci miłości, nie moglibyśmy wspólnemi siłami jednemu podołać wężowi? Twarz moja żywym rozgorzała rumieńcem na samą myśl, że żądanie moje i ofiarę odrzuciłaby mogła. Ale, o cóż ją miałem pytać? Czyliż obecna chwila szczęścia, kiedy ją do piersi moich tuliłem nie starczyła mi już za wszystko? Nie, nie umiałem być panem siebie. Tłumiąc oddech we wzburzonych piersiach i przyciskając zapłakaną jeszcze tkliwiéj do siebie, rzekłem do niéj:

— Ruto, jakiemiż słowy zdołałbym podnieść odwagę pani? Te łzy bolą mnie, bardzo mnie bolą. Wiem, że pani jesteś słabą ciałem, ale silna duszą, bo inaczéj nie mogłabyś tyle lat tak uciążliwéj oddawać się pracy. I ja potrzebuję także współczucia i pomocy. Chciałbym ci powiedzieć rzeczy, które usta moje palą, ale się obawiam, że za pierwszym wyrazem odepchniesz mnie od siebie, wypędzisz z twojego domu.

— Ja, odepchnąć pana! — zawołała podnosząc głowę, — ja, wyrzec się mego najlepszego, jedynego przyjaciela!

— Więc mi pani przyrzekasz, że cokolwiek nastąpi, zawsze mnie za swego przyjaciela uważać będziesz? — zapytałam głosem drżącym.

— Nie inaczéj!" — odpowiedziała składając obie ręce w moje dłonie.

— Pani wiesz, — mówiłem daléj — o moich dawnych uczuciach dla Matyldy Washington. Uczuć tych miłością nazwać nie mogę; była to jakaś gorączka umysłowa, szaleństwo duszy, z którego jużem się dawno wyleczył. Czy pani wierzysz temu? Smutnie pochyliła głowę. Ale może pani nie wiesz jakim sposobem to wyleczenie nastąpiło.

Oto podsłuchałem w parku rozmowę pani z Matyldą. Dowiedziałem się jakiéj ona płochéj swawoli dopuściła się ze mną, ale dowiedziałem się zarazem jak pewna, dobra, szlachetna osoba stawała w mojéj obronie, potępiając jéj niecny postępek. Nie zapomniałem tego wcale, i jeżeli pani powiem, że teraz kocham moją szlachetną mścicielkę, kocham stokroć więcéj niżeli kochałem dawniéj Matyldę, czy dasz pani temu wiarę? Ale, droga moja pani ja prócz kochającego serca i rąk chętnych do pracy nic więcéj ofiarować ci nie mogę, bo nic nie mam. Serce moje posiadać będziesz zawsze, ręce moje pracować będą dla ciebie dopóty, dopóki ostatnia iskra życia w ciele mojem nie zagaśnie. Mam przekonanie, że Bóg związał wspólne nasze losy i przeznaczył nas jedno dla drugiego. Przyjmij więc moją rękę, przyjmij dom mój jako jego pani, jako droga, ukochana moja żona.

Nastąpiła chwila głębokiego milczenia, w ciągu któréj obawa odmowy i nadzieja szczęścia naprzemian walczyły z sobą w mojéj duszy. Nareszcie podniosszy śliczne oczy swoje ku mnie, rzekła:

— Filipie! więc to prawda, ty mnie kochasz, kochasz rzeczywiście?

— Kocham cię Ruto, miłością, jakiéj dotąd nie znałem i jeżeli mi zaufasz, jeżeli się czujesz dosyć silną, by mi tę miłość wzajemnością odpłacić, będziemy szczęśliwi mimo ubóstwa naszego i na przekorę zawodzącym nas dotąd nadziejom.

— Ufam ci przyjacielu mój drogi! — odpowiedziała, z uczuciem rozrzewniającem. Wierzaj mi nie spodziewałam się dzisiaj takiego szczęścia i przysięgam ci uroczyście, że nie ma już dla mnie jakiegoś przeciwnego losu. Oboje będziemy wspólnie dla siebie pracowali. Czyliż może być inaczéj, mój drogi?

Najuroczystszą odpowiedzią na te słowa mojéj narzeczonéj, był tkliwy pełen czci pocałunek złożony na jéj drżących rękach, pocałunek, którym ślubując jéj wdzięczną i nigdy niezmienną stałość uczuć moich, dziękowałem zarazem Bogu za natchnienie mnie w miejsce dawnéj palącéj, trawiącéj zmysły moje namiętności, czystszą, spokojniejszą, wieczną i trwałą miłością, dla godnéj pod każdym względem takiego uczucia istoty.

* * *

Czy to wzajemne przywiązanie podniosło siły nasze tak żeśmy wspólnie zdołali udźwignąć ciężar najrozmaitszych przeciwności, czy też że od téj chwili nastąpił ów przypływ, o którym na wstępie wspomniałem, nie wiem, lecz niezawodną jest rzeczą, że nigdy nie miałem najmniejszego powodu żałowania mego postępku, ani też moja droga Ruta skarżenia się na swoje położenie.

Mieliśmy jeszcze kilka miesięcy dawnych kłopotliwych zabiegów, lecz moja pełna nadziei przepowiednia co do nowych uczennic zaczęła się spełniać i pod N. 3 domu na prospekcie Dolnym przybywało coraz więcéj pacjentów, pewnie zwabionych połyskującym szyldem Doktora Nashe, który poczciwa Brygida, wierząc weń niezmiennie, każdego poranka jak najstaranniéj oczyszczała.

Moja Ruta była zawsze promieniejącą i wesołą, a chociaż nieco blada i wątła, lecz silna charakterem i duszą trzymała się doskonale. Po skończonéj całodziennéj pracy siadała do fortepianu i dopóty najwdzięczniejszemi utworami harmonji kołysała mój umysł, dopóki nie odegnała ode mnie wszystkich wspólnych nam kłopotów.

Od chwili oświadczenia się mojego, zrzekła się owych wieczornych lekcji języka francuzkiego.

— Nie mogę cię zaniedbywać, Filipie — mówiła do mnie. Wieczory moje powinny być dla ciebie tylko, bo każdy z nich ukrzepia mnie na dzień następny. I rzeczywiście też były one dla nas obojga najmilszym wypoczynkiem.

Utworzenie jednego, wspólnego domu nie ziściło się jeszcze, ale nie traciliśmy nadziei, czekając cierpliwie na jéj spełnienie.

Nareszcie przyszła spodziewana nagroda, gdyż skutkiem życzliwéj pomocy dawnego przyjaciela mego ojca, znalazłem w pięknem i kwitnącem mieście Middlebronghton, obszerne i odpowiednie pole dla mojéj pracy, oraz naświetniejsze widoki dla mojéj przyszłości. Sprowadziwszy tu moją ukochaną Rutę, zaślubiłem ją i dotąd żyjemy tutaj, nie bardzo jeszcze starzy, chociaż siwizna głowy nasze przyprószać już zaczyna, lecz zawsze zadowoleni i tak szczęśliwi, jak tylko dwoje małżonków, czystą serdeczną miłością połączonych, szczęśliwymi być mogą.

I tak, wygrawszy wielki los w związku moim z Rutą Fletcher, skromną nauczycielką muzyki, zyskałem stokroć więcéj, niżelim przegrał tracąc Matyldę Washington.

KONIEC.

Dalszy ciąg opisu N. 28.

N. 9. Prassa do rękawiczek.

Deseń na dodatku z krojami Fig. 50.

Materjał: brązowy wełniany ryps, jedwabna perełkowa plecioneczka; jedwabny kręty sznureczek, kordonek w dwóch jasnych kolorach; wstążka brązowa atłasowa 2 cent. szeroka; gruba tektura, papier biały glansowany.

Do chowania rękawiczek używane są więcéj niż pudełka prasy, złożone z dwóch tektur, między które wkłada się gładko wyciągnięte rękawiczki i związuje na wstążeczki. Jak to rysunek N. 9 wskazuje, dwa kawałki grubéj, sztywnéj tektury 25 cent. długiéj, 11 cent. szerokiéj, okleja się naprzód papierem białym glansowanym.

Do części stanowiącéj dno, wkleja się pod papier końce czterech wstążeczek 30 cent. długich, przewleczonych następnie pod ruszą ze wstążki, która otacza wierzch pokryty rypsem. Końce te po włożeniu rękawiczek, wiążą się z wierzchu na kokardy. Dwa paski jedwabnéj plecioneczki otaczają brzeg wierzchniéj połowy. Między prążki naszywa się w równych odstępach stalowe perełki lub daje supełki z kolorowego kordonku. Deseń (na fig. 50) wyszywa się sznureczkiem kręconym i długiemi ściegami kordonku. Wstążeczka 2 cent. szeroka środkiem przefałdowana stanowi ruszę około dna i wierzchu.

N. 10—11. Dwa wzory roboty drutowéj.

Skrócenia: o: zamiast oczko; 1 zd: —1 o: zdjąć na drut nie robiąc; g — gładko zrobić; kr: kręto; 2 zg: — 2 oczy zgubić gładko; 2 ra: zg. — 2 zarzucone razem zrobić; 3 zro: ra: to jest 1 zdjąć nie robiąc, 2 zrobić razem i przez pierwsze przewlec; 1 przy. 1 przybrać a przy następnem obrobieniu gładko zrobić; 2 przy. t. j. dwa razy nitkę na drut zarzucić, a za drugim razem 1 gł. 1 kr. zrobić.

N. 10 — 11 podaje dwie próbki dobrze naśladujące koronkę, zwłaszcza gdy jak to N. 10 wskazuje, po odrobieniu wywiedziemy go filozelą. Taż próbka robiona bez dziurek dodanych z brzegów służyć będzie na piękne tło do chustki, tak zaś służy na wstawkę lub szlak.

N. 10. Wstawka na drutach do poszewek.

1 rząd. 1 zd., 2 zg. zrobić ra., 2 przy., 2 zg. ra., 2 przy. 1 przy., 3 o. zrobić ra., 1 przy., 3 gł.. 1 przy., 3 o. zrobić ra., 1 przy., 3 gł. 1 przy. 3 o. zrobić razem; 1 przy., 2 gł., 2 zg. razem; 2 o. przy., 2 za. zrobić ra. 1 gładko.

2 rząd. 1 zd., 2 gł., 1 kr., 1 gł., 19 kr. 2 gł., 1 kr. 2 gł.

3 rząd. 1 zd., 5 gł., 1 przy. 2 za. zrobić razem, 1 gł., 2 zg. ra. 1 przy., 1 gł., 1 przy. 2 za. zrobić ra. 1 gł., 2 zg. ra., 1 przy., 1 gł., 1 przy., 2 za. zrobić ra., 1 gł. 2 zg. ra. 1 prz. 6 gładko.

4 rząd. 1 zd, 4 gł., 19 kr. 5 gładko.

5 rząd. 1 zd., 5 gł., 1 przy., 2 za. zrobić ra. 1 gł., 2 zg. ra., 1 przy., 1 gł., 1 przy., 2 za zrobić razem, 1 gł., 2 zg. ra. 1 przy., 1 gł., 1 przy., 2 za. zrobić razem, 1 gł., 2 zg. ra. 1 przy. 6 gładko.

6 rząd. tak jak rząd 4.

7 rząd. 1 zd., 2 zg., zrobić ra., 2 przy., 2 zg. ra., 1 gł., 1 przy., 2 za. zrobić razem. 1 gł. 2 zg. ra., 1przy., 1 gł., 1 przy., 2 za. zrobić ra., 1 gł. 2 zg. ra., 1 przy, 1 gł., 1 przy 2 za. zrobić ra. 1 gł., 2 za. ra. 1 przy. 1 gł., 2 za. zrobić ra., 2 przy., 2 zg. ra., 1 gł.

8 rząd. Tak jak 2.

9 rząd. 1 zd. 6 gł. 1 przy. 3 zro. ra. 1 przy. 3 gł. 1 przy. 3 zro. ra. 1 przy. 3 gł. 1 przy. 3 zr. ra. 1 przy. 7 gładko.

10 rząd. Jak rząd 4 i 6.

11 rząd. 1 zd. 5 gł. 2 zg. ra. 1 przy, 1 gł. 1 przy. 2 za. zrobić ra. 1 gł. 2 zg. ra. 1 przy. 1 gł. 1 przy. 2 za. zrobić ra. 1 gł. 2 zg. ra. 1 przy. 1 gł. 1 przy. 2 za. zrobić ra. 6 gładko.

12 rząd. Jak 4 i 6.

13 rząd. 1 zd. 2 za. zrobić ra. 2 przy. 2 zg. ra. jeszcze 2 zg. ra. 1 przy. 3 gł. 1 przy, 3 ra. zro. 1 przy. 3 gł. 1 przy. 3 zr. ra. 1 przy. 3 gł. 1 przy. 2 zg. ra. jeszcze 2 zg. ra. 2 przy. 2 za zrobić ra. 1 gł.

14 rząd. jak 2 i 8.

15 rząd. Jak 11. 16 rzęd. jak 4. 17 rzęd. jak 11 i 15.

18 rząd. jak 4.

19 rząd. 1 zd. 2 za. zrobić ra. 2 przy, 2 zg. ra. 1 gł. 2 zg. ra. 1 przy. 1 gł. 1 przy. 2 za. zrobić ra. 1 gł. 2 zg. ra. 1 przy. 1 gł. 1 przy. 2 za. zrobić razem.

20 rząd. jak 2.

21 rząd. 1 zd. 4 gł. 2 zg. ra. 1 przy. 3 gł. 1 przy. 3 zrobić ra. 1 przy. 3 gł. 1 przy. 3 zr. ra. 1 przy. 3 gł. 1 przy. 2 za. zrobić ra. 5 gładko.

22 rząd. jak 4.

23 rząd. 1 zd. 5 gł. 1 przy. 2 za. zrobić ra. 1 gł. 2 zg. ra. 1 przy. 1 gł. 1 przy. 2 za, zrobić ra. 1 gł. 2 zg. ra. 1 przy. 1 gł. 1 przy. 2 za. zrobić ra. 1 gł. 2 zg. ra. 1 przy. 6 gładko.

24 rząd jak 4. Powtórzyć znowu od pierwszego rzędu.

N. 11. Koronka na drutach z szydełkowem zakończeniem.

Zacząć na 12 oczek.

1 rząd. 1 zd. 1 gł. 2 przy. 3 zro. ra. 2 przy. 2 za. zrobić ra. 3 gł. 1 przy. 2 zg. razem.

2 rząd. 1 zd. 6 gł. 1 kr. 2 gł. 1 kr. 2 gładko.

3 rząd. 1 zd. 1 gł. 2 przy. 2 zg. ra. 1 gł. 2 za. zrobić ra. 2 przy. 2 za. zrobić ra. 2 gł. 1 prz. 2 zg. razem.

4 rząd. 1 zd. 5 gł. 1 kr. 4 gł. 1 kr. 2 za. zrobić razem.



N. 1—2 Kostiumy letnie z materjałów do prania.

N. 1. Kostium z plisowanemi falbankami i wełnianą taśmą. N. 2. Kostium z plisowanemi wolantami i stębnowanemi pliskami.

5 rząd. 1 zd. 1 gł. 2 przy. 2 zg. ra. 1 gł. 1 przy. 1 gł. 2 za. zrobić ra. 2 przy. 2 za. zrobić ra. 1 gł. 1 przy. 2 zg. razem.

6 rząd. 1 zd. 4 gł. 1 kr. 6 gł. 1 kr. 2 gładko.

7 rząd. 1 zd. 1 gł. 2 przy. 2 zg. ra. 5 gł. 2 zg. ra. 2 przy. 2 za. zrobić ra. 1 przy. 2 zg. razem.

8 rząd. 1 zd. 3 gł. 1 kr. 8 gł. kr. 2 gładko.

9 rząd. 1 zd. 4 gł. 2 zg. ra. 1 przybrać. Ażeby odrobić widoczną w środku każdego zęba muszkę, przeciąga się w samym środkowym punkcie 5 obrobienia pentelkę oczka (na drutach będącego rzędu), potem podnosi ją w górę i odrabia gładko, gdy powtórzymy to pięć razy, odrobić następne oczka gładko i przeciągnąć przez węzeł muszki. Następnie rząd 9 robi się daléj jak następuje: 1 przy. 2 zg. razem, 4 gł. 1 przy. 2 zg. razem.

10 rząd. 1 zd., 3 gł., 2 za. zrobić ra. 10 gładko.

11 rząd. 1 zd. 2 zg. ra. 2 przy. 2 zg. ra.; 1 gł., 2 za. zrobić ra., 1 przy. 2 gł. 2 za. zrobić ra , 2 przy., 1 gł. 1 przy. 2 zg. razem.

12 rząd. 1 zd. 3 gł., 1 kr. 8 gł. 1 kr. 2 za. zrobić razem.

13 rząd. 1 zd. 2 zg. ra. 2 prz. 2 zg. ra., 3 gł., 2za. zrobić ra.; 2 przy. 2 zg. ra. 1 gł., 1 przy. 2 zg. razem.

14 rząd. 1 zd. 4 gł. 1kr. 6 gł. 1kr. 2za. zrob. razem.

15 rząd. 1 zd. 2 zg. ra. 2 przy., 2 za. zrobić ra., 1 gł. 2 zg. ra. 2 prz. 2 zg. ra. 2 gł., 1 prz. 2 zg. razem.

16 rząd. 1 zd. 5 gł. 1 kr. 1 gł. 2 za. zrobić ra. 1 gł. 1 kr. 2 zg. razem.

17 rzęd. 1 zd., 2 zg. ra. 2. przy., 2 zg. ra. 2 przy. 2 zg. ra. 3 gł. 1 przy, 2 zg. razem.

18 rząd. 1 zd. 6gł. 1kr. 2 gł. 1 kr. 2 za zrob. razem.

19 rząd. 1 zd. 9 gł. 1 przy. 2 zg. razem.

20 rzęd. 1 zd. 11 zupełnie gładko.

Następnie robić daléj z powtórzeniem od 1 rzędu. Szydełkowe muszki, stanowiące zakończenie, składają się z 5 sł. założonych na igłę i zebranych 1 oczkiem.

N. 12. Koszyk do robót na postumencie.

Model składa się z 71 cent. wysokiego postumentu, z brązowéj trzciny, w któréj włożone są dwa żółte ażurowe koszyczki stopniowéj wielkości. Górny koszyczek zamyka się na przytwierdzoną do niego przykrywkę z brązowem uszkiem do podnoszenia. Przykrycie równie jak oba koszyczki, których spód jest trochę podwatowany, wykłada się lila jedwabną materją. Na zwierzchniéj stronie przykrywki przymocowana jest okrągła wypukła poduszeczka do igieł, pokryta na watę materją, mająca 12 cent. obwodu; na przyszyciu dana ruszą $3^1/_2$ cent. szeroka, wycięta w zęby. Także rusza dana jest brzegiem przykrycia z wierzchu i od spodu, jak również i przy obu koszyczkach. Cztery kokardy przywiązane za cztery kółka, stanowią zakończenie przybrania.

N. 13. Postument do lasek, parasoli i wieszania kapeluszy, z haftowaną lambrekiną.

Ładny ten sprzęt do przyozdobienia przedpokoju, odrobiony jest z ciemnego drzewa w guście rokoko z porcelanową miedniczką do ściekania wody; haftowana lambrekina przyozdabia pięknie postument.

N. 3 przedstawia w naturalnéj wielkości lambrekinę większą, mniejsze zaś ząbki odrobione na brązowem suknie przedstawiają bukieciki fijołków odrobione płaskimhaftem. Arabeska wyszyta jest brązowym kręconym sznurem.

Opis od N. 14—18 na arkuszu z krojami.

N. 19—20. Chustka do nosa męzka.

Mężczyzni do rannego ubrania, z popielatego lub piaskowego płótna albo wełnianéj materji, używają bardzo i chustek w tym samym kolorze. Fabrycznie tkane pąsowe lub czarne brzegi stanowią przyozdobienie; cyfra powinna być haftowana odpowiedniemi kolorami.

Rycina 19 przedstawia piaskową chustkę z ciemno pą-

sowemi brzegami, N. 20 podaje cyfrę w naturalnéj wielkości. Kontur i rzucik jednéj litery jest pąsowy, druga litera ma kontur czarny a rzucik lila.

Pod cyfrą podany wzór odpowiednich numerów.

Opisy od N. 21 do 32 na arkuszu z krojami.



N. 33. Kapelusz dla dziecka.

Robota szydełkiem na sznurku.

Materjał: Bawełna estramadura N. 4 w miejscu sznureczka, kolorowa





N. 4. Koroneczka szydełkowa z tasiemeczką „mignardise.”

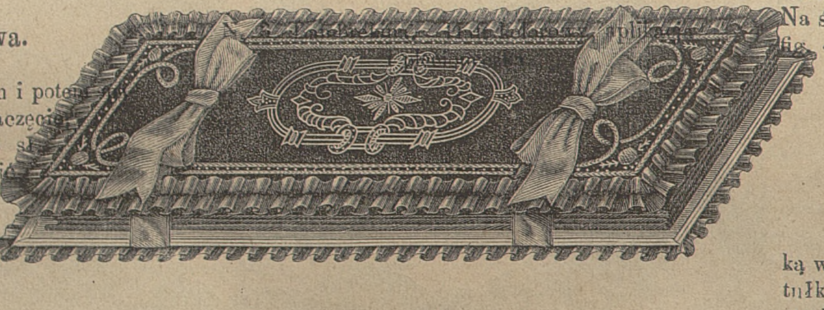
N. 5. Wstawka z „mignardise,” frywolitek i roboty szydełkowéj.

wstążka 3 i 6 cent. szeroka, gładki jedwabny sznureczek.

Robota kapelusika tak jest łatwa i ogólnie znana, iż nie wymaga szczegółowego opisu. Robi się na sznureczku tak jak patarafki, przybierając do wymaganéj wielkości denka. Rondko podniesione z jednéj strony, podszywa się drutem dla sztywności i przyozdabia kolorową jedwabną podszewką. Rozeta do podpięcia odrobiona jest z płaskiego sznureczka jedwabnego z guziczkiem jedwabnym w środku. Główkę przepasaną wstążką podszywa się od spodu muślinem.

N. 34. Gwiazdka szydełkowa.

Listki środkowe robią się jednym ciągiem i potem [illegible] ją w kółko. Większy listek ma 7 o. na zaczęcie, w które zajmuje się 1 o. śc. 1 pół sł. 4 sł. mniejszy listek liczy 4 o. po. w które robi [illegible] 1 o. śc. 1 pół. sł. 1 słupek. Następne rzędy ząbków mogą być szydełkiem z o. pow. i śc. i pikotów odrobione lub też frywolitową robotą o 2 nitkach. Listki w ostatnim rzędzie mogłyby wówczas być zastąpione frywolitowemi owalami.

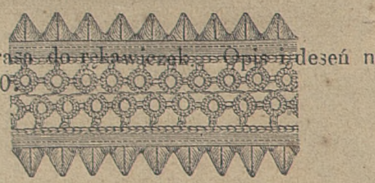


[illegible]

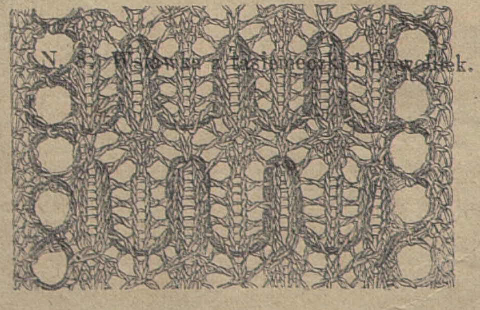


N. 35. Gwiazdka frywolitkowa.

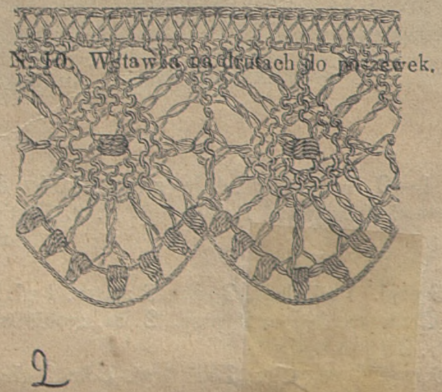
Robotę rozety dokładnie przedstawia rysunek, ilość pod. węz. i p. może być zastosowaną do potrzeby.



N. 9. Prasa do rękawiczek. Opis i deseń na dodatku. Figura 50.



N. 8. Wstawka z tasiemeczki i frywolitek.

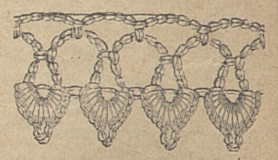


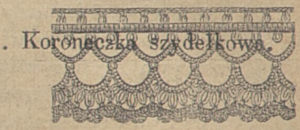
N. 10. Wstawka na drutach do poszewek.

N. 36. Sukienka z karoczkiem dla małéj dziewczynki.

Jedwabne pliski 1½ cent. szerokie z pąsową wypustką i 4 cent. szerokie plisowanie, składa garnirunek ładnéj sukienki. Wzdłuż przodu naszyte guziczki nadają sukience pozór formy „princesse.“

Opisy do N. 37 i 38 na dodatku z krojami.





N. 6. Koroneczka szydełkowa.

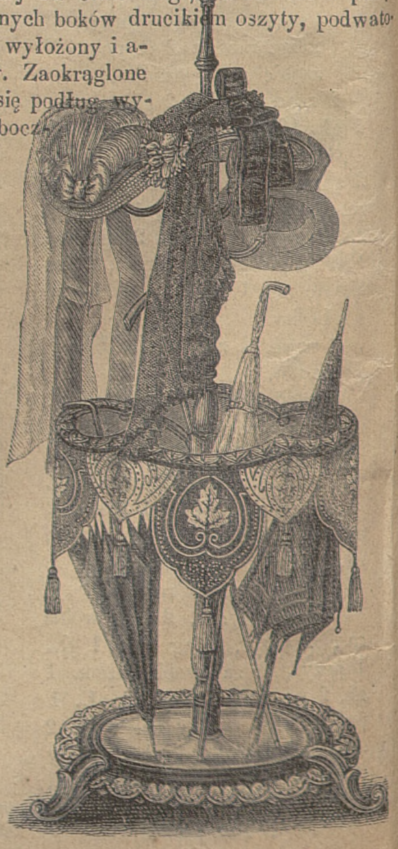
N. 7. Koroneczka z frywolitek i roboty szydełkowéj.

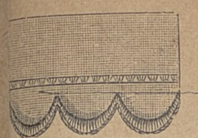
Szkatułka na flakony.

Rycina 38 w N. 27 Tygodnika Mód.

Fig. 47. Połowa bocznéj ściany szkatułki.

Zwierzchnie pokrycie stanowi aksamit czarny, wyszyty w rzucik stalowemi perełkami i dwoma kolorami jedwabiu, ściegiem długim. Czworokątne z obydwóch stron atłasem oklejone dno, ma 10 cent. szerokości a 13 c. długości, dwie zwierzchnie, podłużne ściany mają 8 c. wysokości a 13 długości; drugie ściany wewnętrzne powinny być cokolwiek krótsze i tylko 7 cent. wysokie. Na ściany zwierzchnie poprzeczne, podana jest forma na fig. 47. Ściany poprzeczne stanowiące przegrody między flakonami, krają się także podług powyższéj formy do 7 cent. wysokości i są cokolwiek zwężone, ażeby wchodziły w środek. Każda z czterech ścian zewnętrznych pokrywa się z wierzchu aksamitem, od środka atłasem, następnie łączy z sobą i do dna rzadkim ściegiem dzierganym przyszywa. Na ściany wewnętrzne daje się cienką watę i atłas, w górze przyczepia się te ściany do szkatułki, a u dołu zostawia wolno. Przykrycie stanowi prosty kawałek tektury 12 cent. długi, 11 szeroki w pałąk zgięty z poprzecznych boków drucikiem oszyty, podwatowanym atłasem wyłożony i aksamitem pokryty. Zaokrąglone boki, wykrawa się podług wystających części bocz-





nych ścian szkatułki i wyszywa ściegiem dzierganym, n a s tępnie wieczko łączy się ze szkatułką za pomocą 5 kawałków wstążeczki 3 cent. długich i przyszytéj z jednéj strony do wieczka, a z drugiéj do szkatułki. Nakoniec brzegi i kanty obszywa się sznureczkiem, kręconym jedwabnym lub szydełkowéj roboty. Takież sznury kwastami z perełek szklanych zakończone, przyszywa się do wiązania.

N. 15. Ząbki do zakończenia obrąbka.

Serweta na stół.

Haft na szarem żaglowem płótnie. Rycina 28 w N. 28 Tyg. Mod. Fig. 48 oznaczenie haftu. Połowa narożnika.

Materjał: szare płótno żaglowe, biała bawełna, perełkowa plecioneczka, zwyczajny biały sznureczek, wstawka koronkowa lub szydełkowa 2 cent. szeroka; pąsowa wełniana plecionka 1 cent. szeroka; jedwab czarny, bawełna biała do haftu, pąsowa kręcona bawełna.

Na kwadratowem płótnie wielkości 100 cent. podług fig. 48 wyszywa się łatwy a ładną całość stanowiący deseń ułożony z wyżéj wyliczonego materjału. Chcąc o ile możności najdokładniéj przedstawić całość, podaliśmy w zmniejszeniu do środka złożoną serwetkę zaś rysunek 31 w N. 28 Tygodnika, podaje próbkę ściegu cierniowego z wierzchu przewłóczonego bawełną pąsową.

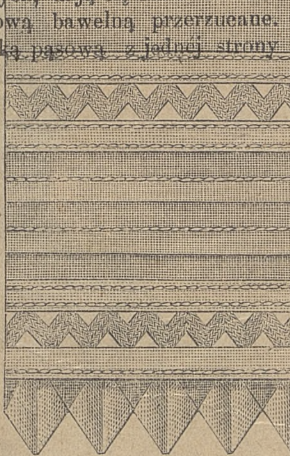


N. 14. Koszula z zapinanemi ramiączkami, dla dziewczynki od lat 5 — 8. Krój na dodatku N. VIII fig. 23 — 25.

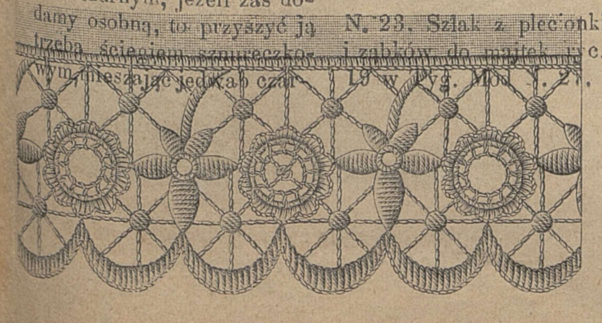


N. 22. Haft do napierśnika ryc. 21.

N. 32 wskazuje sposób naszywania zwyczajnego sznureczka. Dla braku miejsca nie mogliśmy deseniu narożnika narysować w całości, lecz podług części podanéj łatwo będzie go dokończyć. W środku długich brzeżnych zębów plecionką wyszytych, dają się białe cierniowe gałązki z wierzchu pąsową bawełną przerzucane. Wstawkę zakończoną plecionką pąsową z jednéj strony jedwabiem czarnym, ściegiem dzierganym, z drugiéj ściegiem krzyżowanym, bawełną białą naszytą, zamocowaną z lewéj strony, podaje N. 29 w naturalnéj wielkości. Takąż wstawkę z tasiemeczki „mignardise“ i frywolitów podaje N. 30.



Wyszycie za wstawką ze zwyczajnego sznureczka, przymocowywa się z wierzchu jedwabiem czarnym podług próbki N. 32. Jeżeli frędzelkę wysiepiemy w płótnie, to dla mocy brzegi odziergują się rzadko jedwabiem czarnym, jeżeli zaś dodamy osobną, to przyszyć ją trzeba ściegiem sznureczkowym, mieszając jedwab czarny, bawełnę białą i pąsową. W podobny sposób i z tychże materjałów można robić pokrycie na meble do ogrodu.

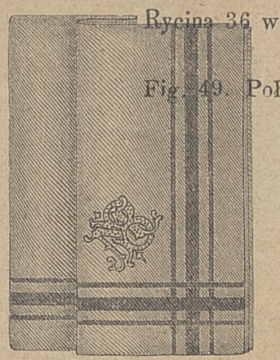


N. 23. Szlak z plecionki i ząbków do majtek ryc. 19 w Tyg. Mód N. 27.



N. 18. Koszula mezka z wykładanym kołnierzem dla małego chłopczyka. Krój na dod. N. VI fig. 14, 18 — 20.

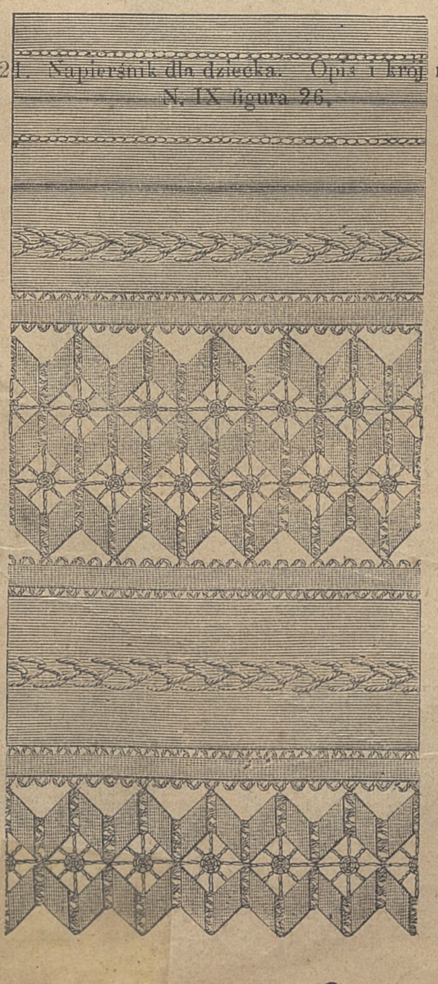




N. 19. Mezka chustka do nosa. Patrz N. 20.

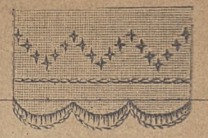


N. 17. Koszula dla starszego chłopca. Kołnierz stojący. Krój na dodatku N. VI fig. 14-18.



N. 21. Napierśnik dla dziecka. Opis i krój na dodatku N. IX figura 26.





N. 16. Ząbki do zakończenia obrąbka.

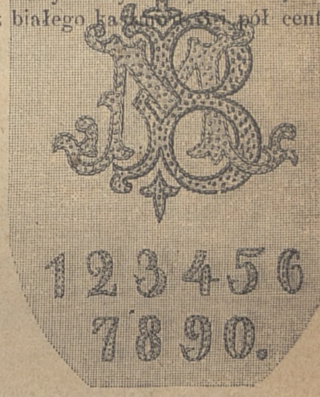
Kieszonka na kłębek.

Rycina 36 w N. 27 Tygodnika Mód.

Fig. 49. Połowa części haftu.

Fig. 49 podaje formę i deseń na zwierzchnią połowę kieszonki do kłębka, która za haczyk stalowy, przytwierdzony w górze, zakłada się za pasek. Wyrysowawszy deseń na białym kaszmirze, obrabia się brzegi grubszym białym jedwabiem, ściegiem dzierganym, następnie wycina tło między deseniem, a robotę ażurową przyczepia cienkim jedwabiem na materji kolorowéj. Dolna część kieszonki stanowi kawałek takiejże saméj materji 33 i pół cent. długi, 20 cent. szeroki, u dołu zaokrąglony a w górze jak to rysunek wskazuje, ścięty trochę śpiczasto, którego zbywającą szerokość zakłada się na środku w kontrafałdę, przy brzegach zamocowaną.

Następnie obie połowy zeszywa się ze sobą i garniruje w koło ruszą z białego kaszmiru pół cent. szeroką, 132 centy. długą, brzegiem dzierganą białym jedwabiem.



Rozmaite deseniki na szlaczki.

do przyozdobienia bielizny dla dzieci. Fig. 51—54.

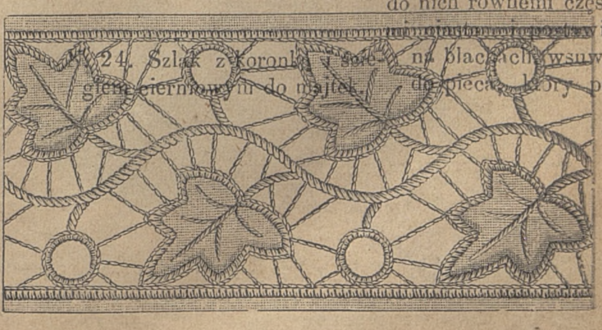
Litery A—Z odpowiednio do wzoru 20 w Tygodniku Mód w N-rze. 28 w którym podane są także numera zastosowane do tych liter.

N. 20. Litery i liczby do znaczenia chustek. Haft supełkowy i stębnówka.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

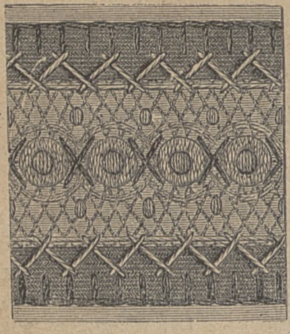
Tort wiedeński.

Funt masła młodego klarowanego włożyć do miski polewanéj i ucierać łyżką przez kwandrans z funtem miałkiego i przesianego cukru i skórką cytrynową obtartą z jednéj cytryny, potem dodawać po jednym całym jajku jaj dziesięć, sypiąc na przemian funt mąki pszennéj w najlepszym gatunku. Uszyć z czystego papieru trzy okrągłe foremki papierowe, wysmarować bardzo cienko topionem masłem, wlać do nich równemi częściami ciasto i postawić je na blachach wsuwając do pieca, który powi-



N. 24. Szlak z koronki i ściegiem cierniowym do majtek.

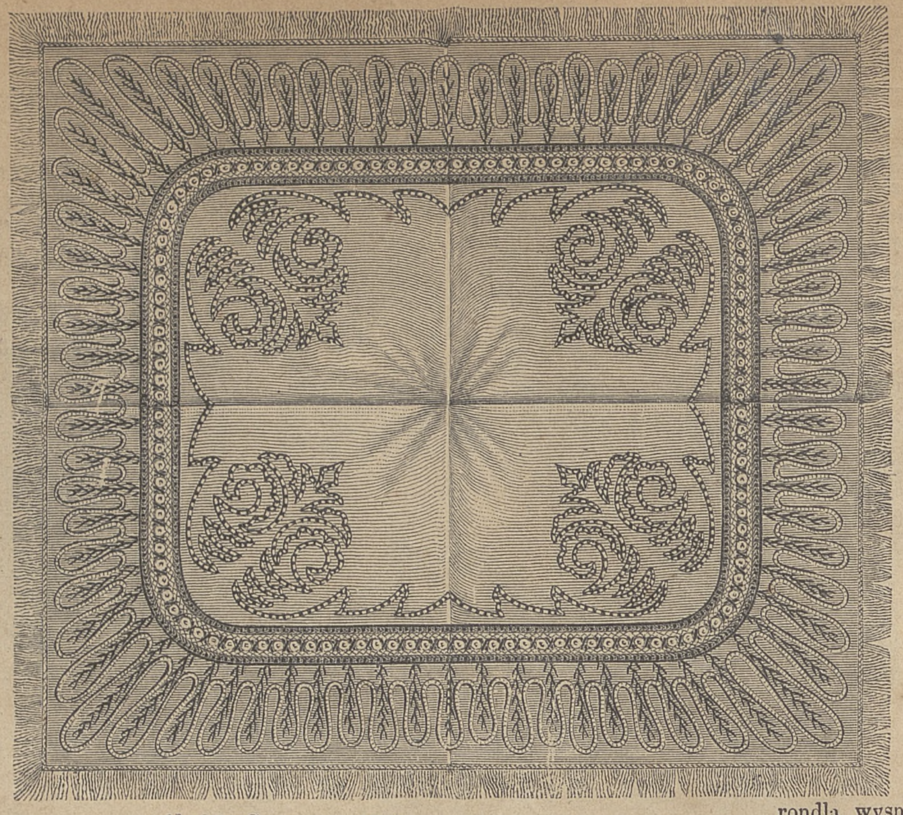
nien być miernie napalony i wypróbowany papierem, aby się tylko lekko rumienił. Ciasto tortowe powinno być tylko kwadrans w piecu — po wyjęciu go zdejmuje się papier i każdy krąg ciasta smaruje się marmoladą owocową, składając wszy-



N. 29. Szlak ze wstawki i taśmy wełnianéj do ryc. 28.

stkie trzy części jednę na drugą. Nakoniec lukruje się tort, wstawia jeszcze chwilkę do pieca dla obeschnięcia, a po wyjęciu ubiera konfiturami.

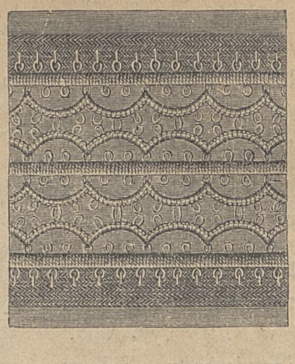
J.



N. 28. Serweta. Haft na żaglowem płótnie. Patrz N. 29 i 30. Opis i deseń narożnika na dodatku fig. 48.

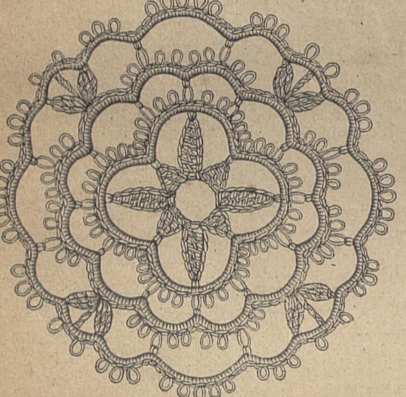
Legumina ze świeżego twarogu

Wziąść kwartę świeżego twarog dobrze wyciśniętego, przetrzeć prze sito, wlać do tego kubek klarowaneg



N. 30. Szlak z plecionki „mignardise" i taśmy wełnianéj do ryciny 28.

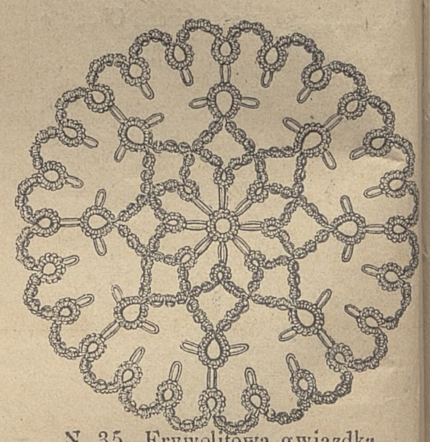
masła, żółtek 12, cukru i wierc to w donicy wałkiem przez godzin Białka ubić na pianę, dodać rodze ków bez pestek, wymięszać, wlać d rondla wysmarowanego topionem masłem i obsypaneg bułeczką i piec w piecu przez pół godziny.



N. 34. Szydełkowa gwiazdka.



N. 33. Szydełkowy kapelusz.



N. 35. Frywolitowa gwiazdka.

Rydze marynowane.

Rydze czysto opłukane w letniéj wodzie położyć na sito żeby osiąkły, późniéj ułożyć w rondel warstwę cebuli drobno krajanéj, warstwę rydzów, cokolwiek soli i dusić na wolnym ogniu. Jak się wyduszą z sosu, lecz nie w zupełności, wlać szklankę octu, z octem jeszcze poddusić następnie ułożyć rydze w słój szklanny lub kamienny i tyle dolać octu osobno przegotowanego bez korzeni, aby rydze były sosem przykryte. *B.*

Jesiotr pieczony.

Wymoczywszy dobrze jesiotra, wziąwszy kawał bliżéj od ogona, bo mniéj jest tłusty sparzyć go mocno kilka razy gorącą wodą, aby skóra od niego odeszła potem osolić i niech poleży z pół godziny, następnie wziąść masła młodego i dużo kopru drobno siekanego wymięszać dobrze razem i naszpikować tem, tak jak si pieczeń szpikuje i albo dusi w rondlu, albo pie na brytwannie po blachą, polewaja kwaśną śmietan masłém.

Helena L.



N. 36. Suknia z karoczkiem dla małéj dziewczynki.



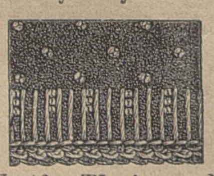
N. 37. Stanik pod szyję z karoczkiem dla panienki od lat 12—14. Przód. Opis i krój na dodatku N. XIII. Fig. 36—40.



N. 31. Ścieg przewleczony do ryc. 28.



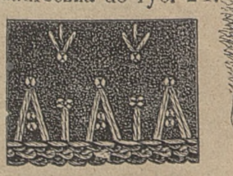
N. 32. Przyszycie sznureczka do ryc. 24.



N. 40. Tło i zakończenie brzegów do szkatułki N. 38 w T. Mód N. 27.



N. 39. Szydełkowy sznur do szkatułki N. 38.



N. 41. Tło i zakończenie szkatułki N. 38. w T. Mód N. 27.



N. 38. Stanik pod szyję z karoczkiem dla panienki od lat 12—14. Plecy. Opis i krój na dodatku N. XIII Fig. 36 do 40.